ŻYCIE
KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1 sh

ROK VI. Nr 16/(252)

LONDYN, 20 KWIETNIA 1952 R.

JĘDRZEJ GIERTYCH

SZKOCJA NIEZNANA

Jak ten czas leci! Już niedługo będzie rok, odkąd zbieram się, by napisać niniejszy artykuł, a więc podzielić się z czytelnikami ŻYCIA garścią wrażeń z odbytej wycieczki, na tyle ciekawej, że szkoda by było, by po niej śladu w druku nie zostało.

Przed wielu, wielu laty, jeszcze za pierwszej mojej emigracji, w roku 1914 w Estonii otrzymałem doskonały, szkolny atlas niemiecki, który pozostał potem stale w moim posiadaniu i spłonął dopiero w roku 1944 w Warszawie. Wpatrując się jeszcze jako mały chłopiec w ten atlas, zapamiętałem, że część Wysp Hebrydzkich w Szkocji, na mapie stosunków wyznaniowych Europy oznaczona jest kolorem innym, niż reszta Szkocji i Wielkiej Brytanii mianowicem kolorem religii katolickiej.

Od dziecinnych lat zawsze tkwiło we mnie pragnienie dowiedzenia się, jak to się stało i dlaczego, że część wysp, otaczających Szkocję, nie stała się protestancką? I jak wygląda życie katolickie tych zapadłych i surowych wysp, zagubionych na dalekiej północy? — Jakoś tak się złożyło, że nigdy dotąd nie miałem sposobności niczego pewnego się o tych sprawach dowiedzieć. A nawet nie miałem pewności, czy dane owego atlasu nie polegają na nieporozumieniu.

Gdy jednak w roku 1951 otrzymiałem dwa tygodnie urlopu w firmie, w której wówczas pracowałem i gdy zastanawialiśmy się z żoną, jaki by tu wymyślić sposób spędzenia tego urlopu tanio, przyjemnie, pożytecznie i na odludziu, to jest z dala od miast i na łonie możliwie pierwotnej przyrody — przyszło mi na myśl, że można by pojechać właśnie na Hebrydy i przekonać się naocznie czy naprawdę trwa tam wiara katolicka.

Nie pamiętałem, które części Hebrydów ów stary mój atlas określał jako katolickie. Chciałem wpierw wybrać sobie wyspę katolicką, która byłaby głównym celem wycieczki. Szukałem w źródłach angielskich, ale nawet w najlepszych atlasach w Muzeum Brytyjskim informacji na ten temat nie znalazłem. Poszedłem więc po rozum do głowy i zajrzałem pod rubrykę „Hebrydy" do niemieckiej encyklopedii Brockhausa. Nie zawiodłem się tym razem: z niemiecką pedanterią wyliczono tam wyspę po wyspie, z zaznaczeniem która jest katolicka, która protestancka, a która mieszana.

Porównaliśmy dane z mapą — i postanowiliśmy udać się na wysepkę Canna — daleko na północy, dość daleko na oceanie, nie tak jednak daleko od brzegu, by nie można było dojechać do niej i tanio i szybko.

Jest rzeczą nie do uwierzenia, jak tanio można podróżować, jeśli się spróbuje sposobów najtańszych. Autobus Londyn — Edynburg względnie Glasgow — Londyn kosztuje półtora funta od osoby. Urządziłem w Edynburgu i Glasgowie odczyty; pozwoliło to pokryć koszt przejazdu. Gościnni rodacy w obu miastach zapewnili noclegi.

W Glasgowie zostawiliśmy miejskie ubrania i z plecakami, z kocami z namiotem (kupionym w 1946 r. z demobilu), ruszyliśmy na północ piechotą. Uszliśmy pierwszego dnia połowę długości jeziora Loch Lomond; przenocowaliśmy w schronisku (Youth Hostel) w Inverbeg. Ten pierwszy dzień zmęczył nas bardzo. Idąc za radą współmieszkańców schroniska, na drugi dzień – nieśmiało — zrobiliśmy znak palcem do przejeżdżającej ciężarówki. O dziwo, — ciężarówka stanęła. Odtąd już stale jeździliśmy samochodami. Samochodów osobowych nie zaczepialiśmy, wychodząc z założenia, że właściciele ich przeważnie podróżują dla przyjemności, a natrętni amatorzy darmowej przejażdżki mogą te przyjemność popsuć. Natomiast przekonaliśmy się że szoferzy ciężarówek nie tylko chętnie biorą pasażerów „na gapę", ale brać ich lubią: mają sposobność do pogawędki i urozmaicenie w monotonii swej pracy. Chodziliśmy piechotą między jedną okazją a drugą — czasem po kilka minut, czasem po kilka mil — akurat tyle, że robiło to przyjemność i dawało sposobność bardziej bezpośredniego obcowania z przyrodą, a nie powodowało prawdziwego zmęczenia.

Zmiana środka lokomocji spowodowała zmianę planów. Odłożyliśmy wyspę Canna na sam koniec wycieczki, przedtem, w błyskawicznym skrócie, objechaliśmy całą górską część Szkocji. Przejechaliśmy lub przeszliśmy wzdłuż, całe, urocze Loch Lomond. Przejechaliśmy, wciąż wznosząc się w górę, huczącą wspaniałymi wodospadami, górską dolinę Glen Falloch. Minęliśmy wysokogórskie, zaśnieżone Crianlarich. Przelecieliśmy przez przeraźliwe bezludzie bagien Rannoch i przez znaną ze sławnej rzezi, ponurą a piękną, niesamowicie pustą dolinę Glencoe. Przeprawiliśmy się promem przez zatokę morską, odwiedziliśmy północne, po protestancku surowe miasteczko Fort William — jedną ze stolic góralskiego, szkockiego, nieprzejednanego kalwinizmu. Zajrzeliśmy do doliny Glen Nevis, tuż u stóp najwyższego w Wielkiej Brytanii szczytu górskiego Ben Nevis. Wyruszyliśmy odważnie w marsz wzdłuż prześlicznej, jak strzała prostej rynny geograficznej „od morza do morza", brzegiem skąpanych w słońcu, długich jezior Loch Linnhe, Loch Lochy, Loch Oich i Loch Ness; nadspodziewanie duży szmat drogi odwaliliśmy piechotą — a potem jednym ciągiem ciężarówką dojechaliśmy do Inverness. (Stary szofer zapewniał nas, że sam na własne oczy nieraz widział słynnego potwora w Loch Ness. Nie byliśmy tacy szczęśliwi, jak on: patrzyliśmy pilnie — ale nie widzieliśmy nic, prócz łodzi rybackich i mew). Inverness – to już coś w rodzaju krańca świata, a jednak ruszyliśmy jeszcze dalej na północ. Małymi dróżkami, poprzez hrabstwo Ross and Cromarty, poprzez góry, lasy, torfowiska, pustkowia, trochę piechotą, trochę ciężarówkami, a w końcu trochę pociągiem, dotarliśmy do Kyle of Lochaish nad oceaniczną zatoką, a stamtąd stateczkiem przybrzeżnym do punktu wyjścia naszej hebrydzkiej wyprawy, do rybackiego portu Mallaig.

Nocowaliśmy czasem pod namiotem, czasem w schronisku turystycznym, tzw. Youth Hostel. (Nocleg na pryczy półtora szylinga, ale trzeba się zapisać na członka). Przy tej sposobności jedno nawiasowe spostrzeżenie pod adresem tych, co twierdzą że Polska pod każdym względem jest opóźniona w rozwoju w porównaniu z Wielką Brytanią. Schroniska turystyczne są jednym z dowodów, że czasem zdarza się i odwrotnie. Polskie góry, nie tylko wzdłuż łańcucha Karpat lecz nawet i w Kieleczyźnie, zasypane były schroniskami już przed rokiem 1914, a ruch turystyczny pieszy, uprawiany przez młodzież akademicką, gimnazjalna i pracującą zarobkowo był w Polsce zjawiskiem masowym od pół wieku. Natomiast w Szkocji najstarsze schroniska górskie powstały około roku 1930. Od dawna były w Szkocji hotele i letniska, ale turystyka była tu do niedawna przywilejem bogatych. Pęd do poznawania kraju w sposób spartański, na piechotę i do obcowania z pierwotną przyrodą w najprostszy, a zarazem najbardziej bezpośredni sposób dotarł do Wielkiej Brytanii z kontynentu i stosunkowo niedawno. A o turystyce kajakowej, tak rozpowszechnionej w Polsce przed wojną, można powiedzieć, że do Anglii dotąd na dobre nie dotarła jeszcze w ogóle. A przecież nie są to tylko fakty materialne: wszak turystyka piesza, będąca wyrazem tęsknoty za przyrodą i za spartańskością, to pewnego rodzaju prąd ideowy. Dociera on stopniowo na tę wyspę – ale jakże późno!

Tylko raz jedliśmy „fish and chips" w tak zwanej po polsku „czy-psiarni". Poza tym jadaliśmy chleb z margaryną oraz gotowaliśmy herbatę, płatki owsiane, jajecznicę i bulion z kostek „Oxo" w w menażce na wielkich kuchniach i w schroniskach lub pod namiotem na krążkach stearynowych z amerykańskiego demobilu. Nigdy jednak nie byliśmy naprawdę głodni. I nigdy, choć kwiecień był chłodny, nie było nam w namiocie naprawdę zimno.

No a przy tym — co za rozkosz zanurzenia się w przyrodę tak dziką, tak pierwotną, że wydawać by się mogło, iż przenieśliśmy się z Londynu nie do innego kraju nawet, lecz do innej części świata! Cóż za cudne chwile odpoczynku w przerwie marszu, na skale, nad brzegiem błękitnego, chlupiącego leniwą falą pod nami jeziora, wśród lasu sosnowego, pachnącego żywicą, — w pustce i ciszy i wśród pejzażu, nasuwającego myśl o Kanadzie lub Finlandii! Cóż za radosne poczucie samotności, swobody i szerokiego odddechu na szerokiej przestrzeni północnych pustkowi, gdy wokoło widać tylko góry, góry — białe na szczytach od śniegu i rude w dole od zeschłych wrzosowisk (jakże cudnie muszą one wyglądać w końcu lata, gdy wrzosy zakwitną i rude zbocza okryją się liliowym woalem!). Cóż za dzika przyroda wśród dolin górskich i bagien, prawie nie sprofanowanych stopą ludzką poza wstęgami szos i rzadkimi oazami farm owczych! Cóż za cudne lasy, w których gęstwinie huczą kręte, skalne potoki, co chwila walące się z łoskotem w dół wodospadami! Cóż za noce pod namiotem, gdy księżyc srebrnym blaskiem kładzie się na widniejących przed nami, wyniosłych, zaśnieżonych zboczach, a cisza pustkowi, aż po prostu w uszach dzwoni; i gdy pomimo zmęczenia aż żal przestać patrzeć, aż żal, po odmówieniu głośno pod gołym niebem pacierza i po wygaszeniu ogieńka pod menażką, właził do namiotu i zasznurować jego wylot; i gdy rankiem, choć szron się na płachtach namiotu położył i choć palce grabieją przy myciu i goleniu w lodowatym, spadającym z gór potoku, aż się ma ochotę na całe gardło śpiewać z radości i zachwytu, że świat jest tak piękny i że śnieżne zbocza taką się powlokły różowością w blasku wschodzącego słońca!

To pobieżne obejrzenie Szkocji nasuwa na myśl cały szereg spostrzeżeń. Wymienię z nich trzy tylko:

Pierwsze — to przejmujące wrażenie, jakie robi wyludnienie szkockich gór. Znam bezludzia bagien poleskich, znam najdziksze pasmo polskich Karpat, Gorgany, ale polskie pustkowia nie są niczym w porównaniu do pustkowi szkockich. Nieraz jedzie się tutaj dziesiątki kilometrów i nie widzi dosłownie ani jednej chałupy i ani jednego uprawnego zagonu. Pytałem się tubylców czy nie można by tych pustkowi uprawiać? Czy klimat i gleba temu nie sprzyjają? „Można by —usłyszałem odpowiedź — ale to się nie opłaca. Trzeba by zbyt wiele inwestować kapitału i pracy". A jednak przed laty te pustkowia uprawiano. Szkockie góry nie były dawniej bezludne. Ale wedle powiedzenia szkockiego, owce zjadły chłopów. Owce opłacały się lepiej od owsa i żyta, zamieniono więc pola w pastwiska. Niektóre połacie tego umarłego kraju budzą po prostu uczucie lęku; nie sposób oprzeć się myśli, że za to zniszczenie wiejskiej, góralskiej cywilizacji, zawinione przez ducha pościgu za zyskiem i przez rozwój przemysłu, przyjdzie może kiedyś jakaś nieoczekiwana kara Boża.

Drugie spostrzeżenie — to siła separatyzmu szkockiego. Byliśmy w Szkocji w chwili, gdy w związku ze sprawą wykradzenia kamienia koronacyjnego przeżywał on okres wzmożonego nasilenia — takiego, jakiego normalnie się nie obserwuje. Ale nawet biorąc w rachubę chwilowe powiększenie zjawiska — trudno nie stwierdzić, że te napisy wapnem na asfalcie szos, na murach w miastach i miasteczkach i na skałach w górach: „Precz z Anglią" i inne w tym rodzju, świadczą o istnieniu zarówno dużej zaciekłości nastrojów, jak i rozgałęzionej i sprawnej organizacji. „Separatyzm jest w Szkocji mniejszością — powiedział nam przygodny towarzysz podróży, starszy wiekiem szkocki lekarz, czy aptekarz, o ile wnosić możemy po szpitalnym zapachu samochodu, którym nas podwiózł — jest jednak siłą poważną, której lekceważyć nie sposób". Rzecz ciekawa, że ruch ten ogniskuje się wyłącznie na zachodnim wybrzeżu i ma stolice w Glasgowie—natomiast w Edynburgu i w ogóle we wschodniej części kraju praktycznie biorąc w ogóle nie istnieje. Mimo to nie ma on podłoża językowego: chociaż język gaelicki odgrywa jeszcze na zachodzie pewna rolę, ruch separatystyczny ma językowo charakter całkowicie angielski i z programem odgrodzenia językowego (jak ongiś separatyzm irlandzki) nie występuje nawet w teorii.

Trzecie spostrzeżenie – to głębokie zakorzenienie się w Szkocji polskich koneksji. Szkocja od czasów inwazji rzymskich i najazdów normandzkich nie widziała nigdy obcych wojsk (poza angielskimi), toteż sześcio- a nawet siedmioletni postój polskich sił zbrojnych w jej granicach wywarł na niej silne i nie dające się zatrzeć wrażenie. Żadnego obcego narodu Szkoci nie znają tak z bliska, jak Polaków. Gdy się powie Szkotowi lub Szkotce, że się jest Polakiem, to się słyszy rozpromienione słowa: „dzieńdobry", „proszę pana", lub „jak się masz" albo informację, że „mam szwagra Polaka", albo nawet widzi się wyciągniętą z kąta polską ilustrację lub wydany w Edynburgu śpiewnik. Zatarły się dawne urazy, zostały tylko miłe wspomnienia, jesteśmy dziś w Szkocji traktowani jak goście mile widziani i prawie swojacy.

Ale miałem mówić o katolickich Hebrydach — a mówię w ogóle o Szkocji.

A więc odkładam Hebrydy do drugiego artykułu.

Jędrzej Giertych

ZOFIA MYSŁOWSKA

LISTY Z RZYMU

WYSTAWA W PAŁACU BARBERINI

W programie ostatniego festiwalu weneckiego figurowała wystawa malarstwa flamandzkiego i włoskiego XV stulecia i do XVIII wieku. Mimo, że program festiwalu był tak obfity w atrakcje, wystawa ta obudziła duże zainteresowanie i fakt ten skłonił organizatorów tej wystawy do przewiezienia jej na pewien czas do Rzymu. W międzyczasie udało się wzbogacić ją o kilkanaście cennych eksponatów i publiczność rzymska ma rzadką okazję oglądania arcydzieł największych malarzy flamandzkich, jak Rubens, Van Dyck, Jordaens, bracia Van Eyck, Memling, Bruegel, Van der Weyden, Gossart zwany Mabuse, a obok nich szereg wybitnych obrazów malarzy włoskich, jak czarujący Antonello z Messyny, Campi, Carbone, Colantonio, Muziano, Strozzi, których sztuka ulegała wpływom malarzy niderlandzkich.

Albowiem bodźcem tej wystawy i jej celem było ukazanie tych związków ideowych i artystycznych, jakie od średniowiecza i do czasów nowszych łączyły Flandrię i Italię. We wstępie do katalogu napisanym przez prof. Paula Fierensa, naczelnego dyrektora królewskich muzeów w Belgii, który jest główną sprężyną tej wystawy, zorganizowanej pod egidą rządu belgijskiego i otwartej najpierw w Bruges, czytamy, że organizatorom chodziło właśnie o wskazanie tego pięknego braterstwa duchowego i w szczególności o przedstawienie tych malarzy flamandzkich, dla których Italia była źródłem natchnienia i skarbnicą wzorów, jak też i malarzy włoskich, którzy pozostawali pod bezpośrednim wpływem Rubensa czy Van Dycka.

Pisze Paul Fierens, że wystawa ta jest właściwie historią przyjaźni tak gorącej, że można ją nazwać prawie dziejami miłości. I jak zwykle bywa w takich wypadkach, w bliskim obcowaniu, każdy z oblubieńców przelewa do duszy wybranej istoty najpiękniejszą cząstkę swej jaźni. Italia nauczyła Flamandczyków wartości plastycznej i perspektywy, dała wzory stylu wspaniałości i pięknego rysunku. Flamandczycy w XV stuleciu natomiast wydoskonalili niezwykle technikę portretową oraz krajobrazu, stali się niedoścignionymi mistrzami kolorytu, mistrzami perspektywy nie linearnej a sferycznej. Niektórzy artyści włoscy wnieśli wszystkie te nowe zdobycze artystyczne flamandzkie do sztuki włoskiej. I rzeczywiście nie trudno jest stwierdzić związki pokrewieństwa artystycznego między Van Eyckami a Antonello z Messyny, a Giovanni Bellini, a Giorgione aż do Tiziana włącznie, związki uwydatniające się przede wszystkim w kolorze, który jest niezrównany w swej intensywności.

Te żywe związki między obydwoma krajami trwają aż do nowszych czasów. W XVII wieku Rubens dopiero po opuszczeniu Italii, w której przeżył 8 lat, osiąga pełnię rozwoju swej sztuki i tak jest przesiąknięty wpływami sztuki kraju, który ukochał, że wybitny historyk sztuki Berenson nie zawahał się nazwać go malarzem włoskim. Przez całe XVII stulecie sztuka flamandzka pozostaje pod wpływem sztuki włoskiej. Malarze włoscy tej miary, jak np. Caravaggio, wywierają olbrzymi wpływ na sztukę flamandzką, a i największy jej eksponent Antoni Van Dyck przyznał się otwarcie do wpływów Tiziana i Veronese. Wielki Piotr Pieter Bruegel był nawet nazywany w swej ojczyźnie Neapolitańczykiem.

Jest rzeczą jasną, iż dla braku miejsca niemożliwe jest nie tylko omówić, ale i wymienić najciekawsze obrazy. Przegląd ich mógł nasunąć pewne spostrzeżenia. Mimo iż wystawa nazywa się flamandzką, zawiera ona prawie wyłącznie obrazy malarzy belgijskich. Wystawa zawiera m. i. arcydzieła znane dobrze amatorom sztuki i namiętnym bywalcom muzeów włoskich. I tak np. oglądać można „Mizantropa" z Muzeum neapolitańskiego arcydzieło Bruegela, fenomenalnego zwiastuna tylu tendencyj współczesnych. Z muzeum Cà d'Oro w Wenecji pochodzi „Portret rycerza", który wraz z innymi dwoma dziełami „Madonną z melagraną" i „Portretem rzeźbiarza Duquesney" — tworzy przecudny tryptyk Van Dycka. Pinakoteka kapitolińska w Rzymie, której przypada zaszczyt posiadania arcydzieła Rubensa „Remus i Romulus" daje nam możność podziwiania tego dzieła, grającego najwspanialszymi kolorami sztuki flamandzkiej. Oglądamy dalej potężny „Portret kardynała Albergati" (Pinakoteka w Wiedniu) pędzla Jana Van Eycka, największego malarza flamandzkiego piętnastego stulecia, twórcy sztuki flamandzkiej. Z muzeów królewskich belgijskich pochodzi piękny Tryptyk Rogiera Van der Weydena na czele ze „Zwiastowaniem", obrazem, znajdującym się w muzeum w Antwerpii, z którego pochodzi również arcydzieło „Ukrzyżowanie" pędzla Antonello z Messyny, cenny klejnot malarstwa, cudna synteza dwóch wielkich szkół malarskich — flamandzkiej i włoskiej.

Z rozmowy, jaką miałam z generalnym sekretarzem wystawy dr Ronci, dowiedziałam się, z jakimi trudnościami połączone było wydobycie arcydzieł strzeżonych zazdrośnie w muzeach i w zbiorach prywatnych. Wystarczy powiedzieć że sama asekuracja obrazów sięgała 180 milionów lirów.

Ale wysiłki te wynagrodziły się pięknie. Wystawa cieszy się ogromnym powodzeniem i termin jej zamknięcia musiał być nawet przedłużony.

Zofia Mysłowska

HEROIZM MŁODYCH LAT

Dla niektórych osób jest niezrozumiałym i niewytłumaczonym fakt, że niespełna dwunastoletnia dzieweczka, Maria Goretti, jest kanonizowana i że mając tak mało lat stała się Męczenniczką w obronie cnoty czystości. Ale te osoby albo zapominają, albo nie pomyślą, że do św. Marii Goretti można zastosować te same słowa Pisma świętego, które czytamy w Lekcji na dzień naszego świętego młodzieniaszka Stanisława Kostki: „Starość szanowana jest nie ta długowieczna ani też liczbą lat porachowana, ale sędziwością jest roztropność człowiecza, a wiekiem starości żywot niepokalany. Stawszy się za krótki czas doskonałym, przeżył czasów wiele."

Warto też przypomnieć sobie słowa, jakie w usta Chrystusa wkłada księga III, rozdział 45 „O naśladowaniu Chrystusa": „Jam jest, który w mgnieniu oka tak wznoszę pokorny umysł, że w jednej chwili więcej pozna wiekuistej prawdy, aniżeli drugi po dziesięciu latach szkolnej nauki." „Jam jest, który człowieka uczę mądrości i maluczkim daję jaśniejsze pojęcie, aniżeli wszelka umiejętność ludzka dać może."

Bóg mocen jest i w młodym wieku dać łaskę dojrzałej świętości, jeśli ta dusza, jak dusza św. Marii Goretti, współdziała z łaską. Czytając jej życiorys widzimy, jak Bóg przygotowywał ją do męczeństwa. „Im bardziej Marietta wzrastała w latach, tym lepszą się stawała" — stwierdza jej matka. Matka też po pierwszej Komunii św. Marietty i jej braciszka powiedziała do nich, że teraz, gdy przyjęli Pana Jezusa, muszą być coraz lepsi. Marietta odpowiedziała wtedy: „Tak, mamusiu, będę zawsze starać się być lepszą." A przy innej sposobności stwierdziła: „Ma, mamusiu, wolałabym umrzeć niż powtórzyć złe słowa."

I dlatego, gdy przyszła próba, była m ę ż n a, męstwo swe posuwając aż do h e r o i z m u ! Gdy sztyletem zadawał jej rany zepsuty młodzieniec, bo ulec nie chciała, — wówczas nie o sobie myślała lecz o duszy mordercy, wołając: „Aleksandrze, co ty robisz, do piekła pójdziesz!".

Dla tej młodocianej świętej umocnieniem stała się M ę k a P a ń s k a.

W czasie przygotowywania się do pierwszej Komunii św. Marietta była pod wrażeniem jednego kazania. Po powrocie z niego powiedziała do matki: „Słuchaj mamusiu, ksiądz mówił nam o Męce Pana Jezusa i powiedział, że gdy popełniamy grzech, ponawiamy tę Mękę". A matka jej opowiadając dziś o tym, stwierdza, że ton głosu, w którym Marietta wypowiedziała te słowa, świadczył jasno, że postanowiła unikać grzechu za wszelką cenę.

Gdy przez kilka godzin wieziono ciężko ranną Mariettę do szpitala — było to w 1902 r. — największym cierpieniem jej było pragnienie, a nie wolno było dać jej ani kropli wody. Również i po operacji. W ten sposób towarzyszyła Męczennica umiłowanemu Zbawicielowi w Jego Męce, udręczeniu pragnienia. Ewangelie nie zanotowały skargi Zbawiciela ani w czasie biczowania, ani cierniem ukoronowania ani w czasie innych mąk Mu zadawanych, — ale zapisał św. Jan słowo wyrzeczone z krzyża: Pragnę. Cierpienie Marietty na skutek pragnienia dzieliła jej matka. „Jak ja cierpiałam, nie mogąc dać jej przynajmniej tej małej ulgi! Jedynie myśl, że ukrzyżowanemu Jezusowi odmówiono podobnie kropli wody, dodawała mi siły."

A jeszcze w jednym fakcie Męki Chrystusowej upodobniła się młodociana Święta do swego Wzoru. Oto przed daniem jej Wiatyku kapłan musiał upewnić się czy śmiertelnie ranna przebaczyła swemu mordercy. Mówił jej więc o Męce Pańskiej, o przebaczeniu Pana Jezusa tym, co byli sprawcami Jego Męki, i o przebaczeniu łotrowi wiszącemu po prawicy Pana Jezusa. I zapytał wyraźnie Mariette, czy przebacza Aleksandrowi z miłości dla Pana Jezusa. Bez wahania odpowiedziała: „Tak. Przebaczam mu z miłości do Pana Jezusa i życzę mu, by złączył się ze mną w Raju". A do innych osób, które pytały w tej sprawie, zdecydowanie mówiła: „Niech mu Bóg przebaczy, jak ja mu już przebaczyłam".

Tak zawsze postępują wychowani w szkole Jezusa!

(J)

Z PISM O. JACKA WORONIECKIEGO

NA NIEDZIELĘ MIŁOSIERDZIA BOŻEGO

Pierwszą niedzielę po Wielkiejnocy, Niedziela Przewodnia poświęcona jest kultowi Miłosierdzia Bożego. Nabożeństwo do Jezusa Najmiłosierniejszego bierze swój początek w Polsce z objawień S. Faustyny Kowalskiej, a obecnie rozszerza się na cały świat.

W literaturze polskiej, dostępnej na emigracji, poza książkami ks. dr M. Sopocki, — jest w obiegu książka O. Jacka Woronieckego OP. pt. „Tajemnica Miłosierdzia Bożego" Z książki tej przytaczamy fragmenty wstępu.

RED.

W przededniu najcięższej próby, jaką Pan Bóg postanowił zesłać na nasz naród, odkąd niemal dziesiątki wieków temu wezwał nas na swą służbę, podobało się Mu dać nam szczególny dowód swego miłosierdzia w postaci wezwania, abyśmy z wciąż wzrastającą ufnością się do Niego zwracali.

Użył On do tego skromnej dzieweczki polskiej, Heleny Kowalskiej — w zakonie s. Marii Faustyny, ze Zgromadzenia SS. Matki Bożej Miłosierdzia — która spędziwszy zaledwie 33 lata na tej ziemi, przeszła do lepszego życia w dniu 5 października 1938 r., pozostawiając po sobie wspomnienie jednej z tych dusz uprzywilejowanych przez Boga szczególnymi łaskami. Myślą przewodnią wszystkich komunikacji wewnętrznych, jakich doznawała od Chrystusa Pana była tajemnica miłosierdzia bożego i obowiązek z naszej strony, aby Mu całą pełnią nadziei na nie odpowiedzieć. Piękny obraz Pana Jezusa wychodzącego niejako na przeciwko nas i otwierającego przed nami swą pierś, z której wytryskają promienie Jego łask, ma nam uzmysłowić tajemnicę miłosierdzia bożego, której Jezus jest wiecznym i nieustającym uosobieniem, a różne modlitwy i wezwania, ułożone z Bożego natchnienia przez s. M. Faustynę mają pobudzać dusze do tej ufności bez granic której szerzeniu wśród nas wszystkich świątobliwa zakonnica poświęciła swe życie.

Dzieło, do którego Bóg ją powołał, ciche i ukryte za jej życia, zaczyna się coraz bardziej rozrastać i poruszać dusze krzepiąc je w chwilach najcięższych doświadczeń Bożych, których nikomu nie brak w ostatnich latach. I nic w tym dziwnego, nie znajdujemy w nim bowiem nic, co by nie wytryskało z najczystrzych źródeł objawienia chrześcijańskiego, co by nie odpowiadało najprawowierniejszym tradycjom wiary i moralności chrześcijańskiej. Możemy przeto wezwania s. Faustyny przyjąć do naszych dusz i dać im pełny oddźwiek, bo wszystko w nich brzmi czystą nutą nauki ewangelicznej.

Jednak nie spuściźnie duchowej s. M. Faustyny, niedostępnej nam zresztą w chwili obecnej pragniemy te rozważania poświęcić. Kiedyś, gdy Kościół wypowie swój sąd o ich prawowierności, będą one dla nas nader cennym świadectwem rodzimej naszej kultury duchowej, ale zawsze stokroć ważniejsza od nich będzie odwieczna nauka objawiona o miłosierdziu bożym, którą Chrystus Pan pragnął przez swą sługę s. M. Faustynę przypomnieć światu na to, aby mocniej poruszyć nią nasze serca. Toteż i przewodniej myśli s. M. Faustyny najlepiej odpowiemy, jeśli mówić tu będziemy nie o jej objawieniach i tym, co jej Chrystus Pan o swym miłosierdziu powiedział, lecz jeśli rozwiniemy w krótkości naukę o tajemnicy miłosierdzia bożego, tak jak nam ją Bóg podał do wierzenia od zarania dziejów ludzkości, aby ją potem coraz bardziej rozwijać przez swych patriarchów i proroków aż do swego Syna jednorodzonego i Jego apostołów.

Kto by chciał kartki te wziąć do ręki, winien będzie przeto dobrze to pamiętać, że stoi wobec tajemnicy bożej, której żaden umysł stworzony nie zdoła zgłębić do dna.

Nie mądrością tego świata należy przyjmować i mierzyć tego rodzaju prawdy, ale mądrością Bożą, której nam udziela wiara i która zagrzewa jeszcze i osobnym światłem darów Ducha Św. oświeca miłość. Tajemnicę miłosierdzia bożego należy rozważać w nastroju szczególnej pokory i bojaźni Bożej, który by chronił przed wynoszeniem się ponad nią i żądaniem, aby się Bóg z planów swej Opatrzności niejako przed nami tłumaczył. A szczególnie należy do niej przystępować w duchu żywej nadziei i ufności, które jak to zobaczymy, są pierwszą odpowiedzią, jakiej się Bóg po nas spodziewa na niezliczone dowody swego miłosierdzia.

„Cześć miłosierdzia oddawana Panu Jezusowi wychodzącemu na nasze spotkanie z sercem otwartym, źródłem miłości i przebaczenia, coraz bardziej się rozszerzała. I nic w tym dziwnego. Wszak nie jest ona żadną nowością nieznaną w Kościele, a tylko żywszym uświadomieniem w umysłach wiernych i głębszym przejęciem się w sercach jedną z najbardziej podstawowych prawd zbawienia.

Dzięki bardzo pięknej książeczce o. J. Andrasza T. J.: „Miłosierdzie boże... ufamy Tobie", odsłonięta została po części przed nami postać świątobliwej zakonnicy Faustyny Kowalskiej, której Chrystus użył jako narzędzia do przypomnienia nam tajemnicy najbardziej zdolnej podtrzymywać nas na duchu w dniach próby i cierpienia. Poznajemy tam krótki przebieg jej życia, łaski, jakich doznała od Zbawiciela i Jego najświętszej Matki, ich żądania i sposób, w jaki na nie odpowiadała, oraz nabożeństwa, które się stąd zrodziły. Miejmy nadzieję, że tym samym piórem nakreślony będzie wkrótce obszerniejszy żywot Zwiastunki Chrystusa miłosiernego. Tymczasem i to, cośmy z rąk o. Andrusza otrzymali, pozwala nam wejrzeć w te cudowne drogi, których Bóg używa dla odrodzenia życia duchowego ludzkości.

Aczkolwiek tak zgodna z tradycją Kościoła, cześć miłosierdzia bożego w tej nowej postaci mogła wzbudzić tu lub ówdzie zastrzeżenia. Wszakże aprobata Episkopatu polskiego zupełnie wystarczyła, aby je rozwiać. Nie omieszkali jednak nasi Pasterze przedstawić Stolicy Apostolskiej ten żywy kult miłosierdzia bożego, który się tak szybko rozszerzył na skutek duchowych przeżyć s. Faustyny. Następstwem tego była audycja w Radio Watykańskim z 27 lutego poświęcona świątobliwej dzieweczce polskiej i tym różnym przejawom czci miłosierdzia bożego, które ona zapoczątkowała. Nie jest to jeszcze ich oficjalnym zatwierdzeniem, ale dowodzi, że i tam w centrum chrześcijaństwa odczuto całkowitą prawowierność tych poczynań, oraz niezmierną ich aktualność, w czasach, kiedy tylko bezgraniczna ufność w Opatrzność i miłosierdzie boże jest w możności zapewnić wiernym pokój i równowagę ducha.

Jak zawsze, gdy idzie o dzieło boże, płodność ich zależy od zamarcia tego pierwszego ziarenka, z którego wyrosły. Z ofiary krótkiego życia s. Faustyny oraz z wielu innych, których Chrystus od niej zażądał, powstaje nowe dzieło, stawiające sobie za zadanie wysunąć w szczególny sposób naprzód tajemnicę miłosierdzia bożego i koło niej ześrodkować życie duchwe tych, którzy do niej przystaną.

W przekonaniu, że tym wszystkim, którzy się nią do głębi przejmą będzie rzeczą pożyteczną poznać te cudowne prawdy boże w samych źródłach objawienia chrześcijańskiego, a następnie i w teologii Kościoła katolickiego, puszczomy w świat to drugie wydanie „Tajemnicy miłosierdzia bożego".

Niedziela przewodnia — niedziela miłosierdzia bożego, 1948 roku.

O. Jacek Woroniecki

PODZIĘKOWANIE

Hospicjum dla studentów polskich w Londynie im. św. Stanisława, zorganizowane po wojnie dużym wysiłkiem społecznym, oraz ośrodek działalności Polskiego Katolickiego Stowarzyszenia Uniwersyteckiego „Veritas" — zostały wkrótce po powstaniu zagrożone w swych podstawach sporem o tytuł własności domu przy 21. Earls Court Sq., który jest ich siedzibą. Groziły procesy, powstały poważne trudności prawne i finansowe. Pomimo największych wysiłków i zabiegów w kierunku rozwiązania piętrzących się trudności, wydawało się — po ludzku sądząc — że sytuacja jest bez wyjścia.

Gdy wszystkie wysiłki nie dawały rezultatu, ówczesny Zarząd Centralny postanowił całą sprawę „złożyć w ręce Jezusa Najmiłosierniejszego, błagając Go o łaskę polubownego i pomyślnego dla wszystkich zainteresowanych stron załatwienia sporu o Hospicjum" *). Za pośredniczkę obrano zmarłą w opinii świętości Siostrę Marię Faustynę Kowalską, ze zgromadzenia Córek Matki Bożej Miłosierdzia (Magdalenek). Równocześnie zobowiązał się on po ostatecznym uporządkowaniu spraw Hospicjum złożyć publiczne podziękowanie za opiekę Miłosierdziu Bożemu przez ogłoszenie tego podziękowania w tygodniku katolickim ŻYCIE.

Po tym postanowieniu Zarządu wypadki toczyły się w dalszym ciągu pozornie tak samo jak przedtem, z tą jednak teraz różnicą, że istniejące trudności poczęły ustępować jedna po drugiej. Sprawy sądowe udało się załatwić polubownie i korzystnie dla zainteresowanych stron. Po unormowaniu prawa własności uzyskano zezwolenie od władz na prowadzenie Hospicjum i Kaplicy. Udało się przeprowadzić nieodzowny i bardzo kosztowny remont i wymagane przeróbki budynku.

Gdy wreszcie, mimo rosnących ograniczeń kredytowych i po bardzo wielu nieudanych próbach, udzielone zostało przyrzeczenie długoterminowej pożyczki hipotecznej, doszliśmy do przekonania, iż Bóg wysłuchał naszych próśb.

Pragniemy tedy wywiązać się z przyjętego zobowiązania i ogłaszamy niniejszym publiczne podziękowanie Miłosierdziu Bożemu.

Zarząd Centralny
P. K. S. U. „Veritas"

*) Cytata z postanowienia Zarządu.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Popielec artystów i pisarzy katolickich. Od roku 1950 odbywa się w Brukseli uroczysta ceremonia posypania popiołem głów belgijskich artystów i pisarzy katolickich. W bież. roku ceremonii dokonał nuncjusz, ks. Fernando Cento, w kościele dominikanów. Po ceremonii, Mszy św. i kazaniu dwóch artystów recytowało w języku francuskim i flamandzkim modlitwę Willette'a „Ave, Domine, morituri te salutant". Wieczorem w tym samym kościele został wykonany komentarz liryczny z towarzyszeniem akompaniamentu muzycznego na motywach melodii średniowiecznych, pt. „Godziny pokuty". Kompozycja oparta jest na tekstach ewangelicznych, przede wszystkim opowiadających o kuszeniu Pana Jezusa na pustyni.

Kościół Matki Bożej Loretańskiej w Warszawie. Władysław IV, nadając w 1648 r. Pradze statut miejski, zaznaczył w dokumencie, że zwrócił się do niego biskup kamieniecki, Michał Działyński, z prośbą, aby mógł założyć miasto na prawym brzegu Wisły, gdzie została wystawiona kaplica Matki Boskiej Loretańskiej. Dokument królewski opieczętowany był wizerunkiem Matki Boskiej z Domku Loretańskiego we Włoszech. Kaplica Loretańska na Pradze kilka razy w ciągu dziejów była zniszczona. Obecnie została odbudowana i mieści się wewnątrz kościoła, na środku, tworząc jak gdyby osobną małą świątynię wewnątrz większej.

Odczyty prof. Haleckiego. W lutym profesor uniwersytetu Fordham w Nowym Jorku, Oskar Halecki, wygłosił szereg odczytów i konferencji na temat kultury zachodniej i sytuacji Kościoła katolickiego za żelazną kurtyną.

Kongres Stanów Zjednoczonych o prześladowaniu Kościoła. Kongres Stanów Zjednoczonych polecił zamieścić w „Congressional Record" spis biskupów i administratorów apostolskich, którzy padli ofiarą totalnego komunizmu. Spis ten, starannie przygotowany przez katolickie agencje prasowe i ogłoszony w prasie, obejmuje nazwiska 142 biskupów i innych kierowników kościelnych, którzy zostali wypędzeni, uwięzieni lub zamordowani przez komunistyczne reżymy zza żelaznej kurtyny.

Z okazji debaty na temat mordowania hierarchii kościelnej za żelazną kurtyną wypowiedziało się publicznie wielu senatorów i posłów. „Opinia publiczna w Ameryce często poruszona była do żywego wiadomościami o terrorze komunistycznym za żelazną kurtyną — powiedział senator Hubert Humphrey z Minnesoty. — Niewielu z nas jednak zdawało sobie sprawę z olbrzymiego zasięgu tych prześladowań. Dla przeprowadzenia porównania musimy się cofnąć do czasów Nerona i Dioklecjana. Prawie nie chce się wierzyć, by coś podobnego było możliwe w obecnych czasach. A jednak nie można zaprzeczać faktów.

Senator Karol Mundt z południowej Dakoty stwierdził: „Wstrząsający raport o prześladowaniu religii przez komunizm daje wiele do myślenia każdemu człowiekowi. Chrześcijaństwo jest największą siłą zorganizowaną dla osiągnięcia dobra. Komunizm jest największą siłą dla osiągnięcia zła".

TADEUSZ DOBROWOLSKI

POLITYKA SPRAWY BOŻEJ

MOTTO: Więc nie powtarzaj słów nienawistnych w malignie,
zawołaj raczej,
Ten z nas zwycięży, który się pierwszy wydźwignie
w Anielską Łaskę Przebaczeń!
Może przez ową nienawiść poddaliśmy anathemom
przez straszliwego Sędzię,
a ręka, która nas gniecie, i barbarzyńców przemoc,
to tylko kary narzędzie.
I nie usłyszą nas Święci, gdy nie dochodzi do nich
w bluźnierstwie poczęty pacierz,
aż ci wypadnie pozew z ściśniętej dłoni
i szepnieszsz: Bracie!

(Józef Łobodowski)

Nie jest rzeczą łatwą omawiać na łamach jednego pisma artykuł, który ukazał się w innym piśmie. Nie jest to łatwe, szczególnie wtedy, gdy się nie chce ograniczyć do polemiki z niektórymi tezami autora i gdy artykuł omawiany zawiera w sobie tyle treści i argumentów rzeczowych, iż przytoczenie go w streszczeniu staje się praktycznie niemożliwe.

Artykuł Józefa Łobodowskiego „Przeciw upiorom przeszłości" w ostatnim (2/3 — 1952) numerze „Kultury" paryskiej jest wydarzeniem publicystycznym i politycznym dużej miary. Można z nim dyskutować, niepodobna go przemilczeć. A napewno należy się z nim zapoznać.

Aby tych z Czytelników „ŻYCIA", którzy dotychczas tego artykułu nie czytali, zaznajomić, pobieżnie przynajmniej z jego treścią, pozwolę sobie skorzystać z tekstu streszczenia, jakie redakcja „Kultury" zamieszcza w języku francuskim na końcu każdego numeru:

„Józef Łobodowski w artykule „Przeciw upiorom przeszłości" próbuje sformułować program porozumienia polsko-ukraińskiego i trwałego kompromisu między dwoma narodami. Ponieważ głównym przedmiotem sporu są południowo-wschodnie ziemie Polski sprzed 1939 roku, autor proponuje rozwiązanie na podstawie federacyjnej: te ziemie miałyby tworzyć organizm przejściowy, rodzaj condominium polsko-ukraińskiego, gdzie oba języki byłyby używane równolegle w administracji, w sądownictwie i w nauczaniu.

W obliczu swych doświadczeń historycznych Ukraińcy obawiają się wszelkich związków, nawet federalnych, gdy tymczasem jedynie szerokie federacje byłyby w stanie zapewnić Europie stabilizację i trwały pokój. W wypadku omawianym obecnie Ukraina, na skutek swego obszaru, swego potencjału ludzkiego i gospodarczego, mogłaby odegrać poważną rolę w federacji Europy Środkowej. Nowa wojna polsko-ukraińska o Lwów pozwoliłaby Rosji raz jeszcze na zagarnięcie Ukrainy i pogorszyłaby sytuację Polski od zachodu".

Przytoczone powyżej streszczenie zaznajamia jedynie powierzchownie z tematem artykułu Łobodowskiego. Artykuł ten trzeba by raczej nazwać rozprawą, tak ze względu na jego rozmiary (53 strony druku), jak i wielostronność i gruntowność opracowania i poruszonych w nim zagadnień.

Lecz to, tak dokładnie opracowane i przemyślane, studium nie daje jeszcze pełnego obrazu zagadnienia. Dynamiczny i pełen śmiałości artykuł Łobodowskiego nie dostrzega w zagadnieniu polsko-ukraińskim pewnych, bardzo istotnych, elementów pozytywnych. Wyrosłemu między nami i Ukraińcami murowi nieufności, wykopanej otchłani wzajemnych krzywd i bezmiarowi narosłej nienawiści nie wystarcza przeciwstawić prostego stwierdzenia, że to jest złe, że to jest niechrześcijańskie, że to oba nasze narody do zguby prowadzi. I nie wystarcza dla zażegnania wielowiekowej walki powołanie się na zdrowy rozsądek niewątpliwych korzyści politycznych nawiązania zgodnej współpracy.

Gdyby to było takie proste, jakżeż łatwo byłoby zmienić historię ludzkości, skierować ją na nowe tory...

„*Po jednej i po drugiej stronie* — pisze słusznie Łobodowski — *jest mnóstwo ludzi, organicznie niezdolnych do otrząśnięcia się z urazów i zapiekłych wspomnień*".

Ostatnia wojna przyczyniła się wydatnie do spotęgowania, jeszcze brzemienia wzajemnych krzywd. A po wojnie... Czyż my, emigracje polityczne dwóch narodów cierpiących w jarzmie bolszewizmu, uczyniliśmy wiele, aby narosłej nienawiści przeciwstawić prostą chociaż życzliwość? A od zakończenia działań wojennych mija już siedem lat...

„*Od siedmiu lat* — pisze Łobodowski — *nie słabnie prasowa kampania nienawiści. Co gorzej, okresami przybiera na natężeniu. Nie jest to zarzut, odnoszący się do wszystkich, ale na pewno do bardzo wielu. Są pisma, są publicyści, którzy sprawiają takie wrażenie, jakby im specjalnie zależało na tym, by ognisko tej nienawiści nie zagasło. Niechże grzeją swe wychłódłe serca przy jego płomieniu. Ale nigdy nie uwierzę, aby poza nimi nie znaleźli się w szeregach naszej emigracji ludzie skłonni do patrzenia w przyszłość, mający dość odwagi cywilnej, by nie dać się sterroryzować własnemu środowisku i świadomi niebezpieczeństw, jakie znów nam wyjdą naprzeciw jeśli będziemy trwali przy starym uporze i wrogości*".

„*Siedem lat emigracji zmarnowaliśmy właściwie bez reszty*".

Lecz do zmiany tego stanu rzeczy sam zdrowy rozsądek nie wystarczy.

Zdaje sobie sprawę z tego Łobodowski. Nie jest on, jak sam zaznacza, optymistą. Lecz, jak pisze na zakończenie swego artykułu, „*Gdy nie ma szans na zwycięstwo, zawsze pozostaje duma, płynąca z przeświadczenia, że się swej idei broniło nawet w sytuacji beznadziejnej*".

Sytuacji beznadziejnej? Takby się mogło zdawać — istotnie...

Tragiczne jest, iż to, co nas dzieli, wyrosło na podłożu tego, co powinno było stać się naszą najściślejszą więzią, — wspólnego naszym narodom umiłowania wartości ponadmaterialnych, silnego ducha narodowego, umiłowania wolności, umiłowania wiary ojców...

Serca nasze stwardniały.

Nasz konflikt nie jest konfliktem sprzecznych interesów, to przede wszystkim konflikt serc. A serca można pozyskać tylko miłością.

Kiedy zastanowić się głębiej, to okaże się, że nasza wielowiekowa, polsko-ukraińska walka, nie jest zjawiskiem jedynym, czy odosobnionym. Ale na tle obecnej sytuacji ludzkości konflikt ten i jego możliwe następstwa nabierają cech ponurego symbolu i groźnej przestrogi.. To nie nasze narody tylko, to cała ludzkość zmierza do nieuchronnej, zdawałoby się, katastrofy, której źródło, niezależnie od pozornie sprzecznych interesów politycznych, gospodarczych, międzynarodowych i klasowych tkwi w rzeczywistości w sercach ludzkich.

W odwróceniu się ludzkości w jej życiu prywatnym i publicznym, gospodarczym i społecznym od dwóch największych przykazań, przykazań miłości.

I jeśli sytuacja w odniesieniu do naszych dwóch narodów, najmniej może zmaterializowanych, wydaje się beznadziejna jedynie dla twardości serc naszych, to jakąż nadzieję może mieć cała ludzkość? Po ludzku biorąc, z ludzkiego tylko punktu widzenia, sytuacja j e s t beznadziejna, jeśli odrzuci się z góry jeden czynnik i to najważniejszy — pomoc Bożą.

Już słyszę słowa oburzenia i protestu: „Nie mieszać Boga do polityki!" I ci co tak powiedzą, mają pewną rację — historyczną. Zbyt często Imię Boże używane było dla pokrycia czyichś interesów, grupy, klasy, państw, ustrojów społecznych, czy rycerskich zakonów.

Ale Boga nie da się wykluczyć z polityki, jak z jakiejkolwiek innej dziedziny działalności ludzkiej.

Nie należy wprowadzać Boga do polityki? Według mnie należy. I trzeba. Trzeba koniecznie. I wtedy, ale tylko wtedy można i trzeba liczyć na pomoc Bożą. Tak, w polityce. Ale w polityce tylko jednego rodzaju. W polityce Sprawy Bożej. W polityce miłości.

W chwili tragicznej dla całego świata, kiedy ludzkość stoi u progu przepaści, bratnie narody: polski, ukraiński i białoruski mogą odegrać wielką rolę, jeśli poświęcą się wspólnie polityce Sprawy Bożej. Jeśli uczynią wspólny wysiłek dla udowodnienia światu, że drogą ładu chrześcijańskiego opartego na miłości społecznej można stworzyć potęgę — nie tylko materialną. Przy Bożej pomocy.

Stwardniały i zapiekły się serca nasze w nienawiści. Dzielące nas przepaści są zbyt szerokie, abyśmy mogli je zasypać własnymi siłami.

Lecz o pomoc możemy i powinniśmy prosić Pośredniczkę Łask Wszelkich, której część związana jest nierozerwalnie z dziejami naszych narodów.

Rzucam konkretny projekt zorganizowania w tym roku, w dniu Święta Wniebowzięcia, we wszystkich krajach naszej emigracji pielgrzymek do miejsc specjalnego kultu Matki Bożej. Pielgrzymek polskich, ukraińskich i białoruskich.

Z prośbą o pomoc dla dzieła miłości i pojednania, gdyż same tylko nasze, ludzkie wysiłki nie wystarczą.

TOMASZ DOBROWOLSKI

ALEKSANDRA POLESKA

EROS I AGAPE

Groźba zagłady Europy i tego stylu życia, który nazywamy zachodnim, każe szukać zasadniczych przyczyn stanu obecnego i próbować znaleźć źródła, z których zaczął on brać swój początek. W próbach uzdrowienia łatwo być powierzchownym i usiłować jakąś formułą rozwiązać najgłębsze zagadnienia, tkwiące u podstaw cywilizacji; by tego uniknąć trzeba wrócić uwagę na dzieła umysłu ludzkiego, które rzucają światło na samo jądro sprawy.

Stosunkowo niedawno ukazała się na terenie Anglii książka jezuity, ojca M. C. D'Arcy pod tytułem „The Heart and Mind of Love", który zwraca uwagę na dzieło Denis de Rougemont „L'Amour et l'Occident" (angielski tytuł „Passion and Society"), wydane we Francji w roku wybuchu wojny. Ojciec D'Arcy uważany jest powszechnie za umysł arcysubtelny, za powagę teologiczną, a sława jego na kontynencie przewyższa nawet uznanie, jakim się cieszy wśród katolików angielskich. „The Mind and Heart of Love" jest próbą rozwikłania niesłychanie trudnego, a zarazem fascynującego problemu miłości chrześcijańskiej „AGAPE" w odróżnieniu od miłości pogańskiej „EROS". Punktem wyjścia do rozważań ojca D'Arcy są właśnie tezy, postawione w książce Rougemonta.

Francuski autor potwierdza, że cała powieść europejska wyprowadza swój rodowód z poezji średniowiecznej trubadurów prowansalskich, więc do niej zwrócić się trzeba, aby wykryć początki tych prądów literackich, jakie później stworzyły wielki nurt literatury zachodniej i jej typowe wątki psychologiczne i metafizyczne. Jest to poezja, opiewająca niemal z reguły dzieje wielkiej miłości, która w trafnym angielskim przekładzie nazywa się „unhappy mutual love" — miłością wzajemną a nieszczęśliwą. Jako przykład typowy Rougemont cytuje historię Tristana i Izoldy, podkreślając pewne osobliwość: psychologiczne w postępowaniu bohaterów na które krytyka wcześniej nie zwróciła uwagi. Chodzi o to, że kochankowie, których namiętność stała się przysłowiową, zachowują się często tak, jakby im na sobie zupełnie nie zależało: rozstają się parę razy i to z reguły wtedy, kiedy rozłąka nie jest umotywowana żadną koniecznością zewnętrzną. Wygląda niemal na to, że miłość osiąga u nich najwyższą ekstazę wtedy dopiero, kiedy są od siebie daleko, beznadziejnie rozdzieleni, zaś szczyt uniesienia przeżywają w chwili, gdy oboje giną. Odnosi się po prostu wrażenie, że Tristan i Izolda **tęsknią do śmierci bardziej namiętnie, niż do wzajemnej swej obecności** i wreszcie kiedy śmierć — wciąż przez nich prowokowana i wzywana — przychodzi aby zabrać ich w ciemność — osuwają się w jej objęcia z okrzykiem upojenia.

Jaka zagadka psychologiczna kryje się w takim postępowaniu? Wszak biorąc sprawy po ludzku, para kochanków powinna nieuchronnie dążyć do tego, aby żyć razem. Skąd więc pochodzi to drażniące zakochanie się w śmierci, ta dziwna do niej tęsknota; a przede tem jeszcze dobrowolna i niezrozumiała rezygnacja z cielesnego współżycia?

Po dziś dzień uczeni nie są całkowicie zgodni co do tego, pod jakim wpływem powstała poezja prowansalska. Wiadomo tylko, że istniały pewne oddziaływania mistycznej poezji arabskiej i że Wschód wycisnął swoje piętno na formowaniu się pojęć, które przeszły później do tradycji literackiej i zostały uznane za typowo „europejskie". Rougemont stawia tezę niesłychanie śmiałą, ale dość prawdopodobną, że twórczość romantyczna średniowiecza nie powstała na pożywce wyłącznie łacińskiej i katolickiej, ale równie wiele, a może więcej nawet zawdzięcza herezji religijnej, zawleczonej z Azji. Za prawdziwością tego poglądu przemawia fakt, że w tym samym momencie, kiedy w sposób niewytłumaczony i nagły rozkwitła poezja miłosna na południu Francji, pojawiło się tam groźne zniekształcenie nauki Chrystusa wywodzące się z manichejsko-irańskiego światopoglądu. Herezja, której wyznawcy zwali się katarami, wzięła swój początek z dualistycznych pojęć religii Wschodu z domieszką arianizmu i gnostycyzmu. Podstawą jej było wierzenie, że życie i świat widzialny są dziełem złego ducha, gdyż Bóg — najwyższe dobro — nie może być autorem koncepcji opartej na cierpieniu, przerażeniu i rozpaczy. Dusza ludzka uwięziona w powłoce ciała czuje swoje wygnanie i pragnąc połączyć się z Bogiem, w nieskończoności dąży do śmierci, która jedynie dać je może wybawienie. Pośród wyznawców sekty istniał nawet skrajny odłam, który chlubił się dobrowolnymi samobójstwami swych członków — taka niecierpliwość wydobycia się z więzów ciała uważana była za najwyższy dowód pragnienia zjednoczenia się z Bogiem.

Najbardziej charakterystyczną cechą tej religii było lekceważenie wszystkich doczesnych spraw, przykuwających człowieka do ziemi. Potępienie bezwarunkowe ciała — często uważane za atrybut chrześcijaństwa — jest w gruncie rzeczy pochodzenia manichejskiego. Kościół katolicki zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństw herezji i jej lirycznej atrakcyjności, jaką miała dla niektórych umysłów, ale pomimo zwalczania nie zdołał jej wytępić aż do czasu wypraw krzyżowych przeciw albigensom.

Pośród sfer dworskich znalazło się najwięcej entuzjastów zniekształconej nauki Chrystusa i wielu trubadurów było mniej lub więcej katarami. Dlatego w pieśniach ich tyle wspaniałych i przejmujących akcentów skierowano w stronę miłości niespełnionej, tak wielkie panowało uwielbienie platoniczne kobiety jako nieosiągalnego ideału, na tak wysokim piedestale umieszczono Kobiecość ponad ziemskimi pożądaniami i tęsknotami. Z drugiej strony jednak religia, która odrzuciła kategorycznie bardziej ludzkie akcenty w stosunkach między mężczyzną a kobietą i ustaliła jako kanon etyczny całkowitą wstrzemięźliwość — okazać się musiała bezsilną w obliczu wrodzonych ludzkich namiętności i instynktów. Stąd obok czystych uniesień poetyckich spotyka się często w środowiskach dworskich reakcję w postaci skrajnej zmysłowości — taki odwet brała natura człowieka na czystym spirytualizmie. Z historii Tristana i Izoldy wynika, jak silnie te dwa motywy, pozornie różne, są ze sobą splecione.

Rougemont w poszukiwaniu za początkiem mitów, które zrodziły manicheizm i poezję średniowiecza, zapuszcza się w odległe czasy, kiedy na kontynencie panowała celtycka religia druidów. U nich też istniał kult kobiety-zbawicielki, strzegącej drzwi prowadzących do Wiecznej Ciemności. Ślady tych samych skłonności znaleźć można w filozofii Platona i jej antecedencjach irańskich i orfickich. Zetknięcie się tych dwóch prądów myślowych sprowadziło narodziny Erosa, pogańskiego boga „Bezgranicznego Pożądania", które z początku było tylko pożądaniem miłosnym i służyło sprawom instynktu, ale z biegiem czasu przekształciło się w bardziej subtelną tęsknotę — pęd do nieskończoności, do absolutu.

Z chwilą pojawienia się chrześcijaństwa na miejsce „EROSA" przyszła inna koncepcja miłości — „AGAPE", czyli miłość bliźniego. Według pojęć naszej religii, przez wcielenie SŁOWA w CIAŁO, przez przyjście Chrystusa na ziemię, ludzkość została na zawsze wybawiona od konieczności **wydostania się z więzów ciała, aby obcować z Bogiem.** Bóg przyszedł na świat w postaci ludzkiej, aby grzesznikom przynieść odkupienie, skończyło się panowanie CIEMNOŚCI i obłędny wyścig ku niej. Dla chrześcijanina właściwe życie nie zaczyna się dopiero z chwilą śmierci, liczy się także to na ziemi, które nabrało nowej ważności, skoro życiem ziemskim zasłużyć można na życie wieczne. Nieskończoność zwężona została niejako do rozmiarów Hostii, w której zamieszkał prawdziwy Bóg i prawdziwy człowiek. Odtąd „EROS" — pasja metafizyczna dążąca do samozniszczenia — zastąpiona została przez miłość chrześcijańską, która poprzez godność, jaką nadał naturze ludzkiej Chrystus, zaczyna uznawać w drugim człowieku pełną osobowość, a nie tylko refleks własnych tęsknot i wyobrażeń.

Dlaczego jednak po dwunastu wiekach chrześcijaństwa powrócił w pewnym momencie historycznym tak gwałtowny kult Erosa, który odwieczne tęsknoty przybrał w nową szatę religijnej herezji? Odpowiedź leży w dziedzinie zarówno psychologicznej, jak i socjologicznej. Chrystus podniósłszy małżeństwo do godności sakramentu, narzucił prymitywnemu, barbarzyńskiemu światu nieznaną dotychczas dyscyplinę. Została ona przyjęta, ale tylko częściowo. Zachowano dość wiernie jej przepis, monogamia ustaliła się zwyczajowo, ale pozostała martwą literą. Małżeństwa zawierano dla celów utylitarnych, bez głębszych uczuciowych powiązań, często bez zgody stron bezpośrednio zainteresowanych. Wszelkie subtelniejsze tęsknoty emocjonalne uznano za nie mieszczące się w ramach tej instytucji. Powrót kultu Erosa z jego obyczajowymi i metafizycznymi implikacjami powstał jako barbarzyńska reakcja na naukę Kościoła.

Zresztą Rougemont widzi w poezji prowansalskiej coś więcej niż tylko samo wcielenie w formy literackie pojęć i wierzeń, jakie przyniosła, a raczej odświeżyła w świadomości ludzkiej sprawa katarów na południu Francji. Podobnie jak Rahn, Péladan i Aroux, uważa, że niektórzy poeci, jak na przykład Chrestien de Troyes, używali swoich wierszy jako świadomego kryptonimu do wyrażania heretyckich poglądów i tęsknot religijnych, które nie mogły być inaczej ujawnione ze względu na postawę Kościoła. Wiersze trubadurów-katarów, to często jakby tajne kroniki dla wtajemniczonych, opisujące nie tylko piękno idealnej miłości do wybranej, ale przede wszystkim usiłujące przemycać pod pokrywką nieortodoksyjną tęsknotę do śmierci i pragnienie połączenia się z Absolutem.

Najbardziej jednak pasjonuje ta część książki Rougemont'a w której przenosi on nas w czasy historycznie bliższe i pokazuje, w jaki sposób poprzez wieki koncepcja „wielkiej romantycznej miłości" przekształcała się zgodnie z modą literacką i dążeniami danego okresu i jak wiele zaczęła obejmować dziedzin, nawet nic nie mających wspólnego z literaturą. Z chwilą, gdy katarzy zostali rozbici orężnie i wytępieni, a pamięć o istotnym znaczeniu ich poezji zaginęła — retoryka tej poezji, jej alegorie i metafory przedostały się nawet do ortodoksyjnego mistycyzmu katolickiego, zresztą wyłącznie już tylko **jako sposób wyrażania się, a nie jako treść.** Najbardziej skrajnym przykładem takiego zapożyczenia czysto zewnętrznego jest św. Franciszek z Asyżu, który tak kochał poezję francuską, że nazywał swoje dobrowolne ubóstwo „bogdanką", a siebie jej „rycerzem". Podobne skojarzenia i metafory odnajdujemy w uniesieniach św. Teresy i św. Jana od Krzyża. Poezja świecka nie pozostała też w tyle. Poprzez Dantego i Petrarkę został poezją dworską i jej emocjonalnym tonem „zarażony" Szekspir, co specjalnie widać w „Romeo i Julii". To samo da się powiedzieć o niektórych poematach Miltona. Ale prawdziwie zatryumfowała miłość romantyczna w XVII wieku, kiedy powstał nowy gatunek literacki: powieść. Jaskrawym przykładem zwycięstwa ducha poezji dworskiej, wzbogaconego teraz o nowe akcenty psychologiczne, jest słynna powieść Madame de Lafayette „La Princesse de Clèves".

Trzeba jeszcze zwrócić uwagę na zachowanie się „europejskiego" mitu samozniszczenia, gdy nastąpiło zetknięcie z innymi sferami życia, bardzo odległymi od literatury. Mit ma to do siebie, że skoro raz zostanie ustawiony w świadomości jednostek i społeczeństw, prowadzi już życie samodzielne, idzie własnym rozpędem. To, że w dzisiejszym świecie pełno jest katastrof małżeńskich, rozbitych ognisk rodzinnych i osobistych tragedii, jest także w części wynikiem tego, że w podświadomości każdej, nawet najmniej oczytanej kobiety, która nigdy nie słyszała o Tristanie i Izoldzie, tkwi gorące przeświadczenie, że wielka namiętność, nawet przynosząca cierpienie, ma większą wartość niż prozaiczne szczęście, jakie daje normalne życie rodzinne. W takim przekonaniu utwierdza ją jałowe i nudne bytowanie wytworzone przez cywilizację przemysłową, a poza tym do poszukiwania „wielkiej miłości" zachęca kino, teatr i literatura, a ponieważ chrześcijaństwo na Zachodzie przestało być uważane przez wielu jako obowiązujący kodeks postępowania, więc prawie nikt nie zdaje sobie na codzień sprawy z tego, że prawdziwa miłość między dwojgiem ludzi też musi być oparta na „AGAPE" — chrześcijańskiej miłości, która pragnie dobra drugiej osoby, a nie tylko zaspokojenia własnych iluzji. Albowiem „EROS", który wziął początek z siebie samego i jest najlepszym przykładem narcyzmu — karmi się złudzeniami i zamiast drugiej osoby widzi w jej psychice wyłącznie, odbicie własnych aspiracji.

Każdy, kto obserwuje świat nowoczesny, spostrzega, jak wielkie niebezpieczeństwo kryje się w takim nastawieniu. Ale mit Erosa jest jeszcze groźniejszy, jeśli przeniesie się na teren świadomości narodowej. Rougemont poświęca wiele miejsca powiązaniom spraw wojny i miłości. Ciekawe jest, że język wojenny i język miłosny wykazują zdumiewające podobieństwa skojarzeniowe, a w średniowieczu walka orężna i miłość dworska kierowały się podobnymi przepisami kodeksu honorowego. Tak jak w miłości „EROS" jest ostatecznym wyrazem służenia sobie samemu, tak na terenie międzynarodowym pasja samozniszczenia w połączeniu ze zbiorowym egoizmem narodowym daje co pewien czas nową wojenną zawieruchę.

Na tle tych rozważań nie jest może pozbawione znaczenia, że ostateczna synteza mitu zjawiła się wraz z niemieckim romantyzmem i że twórcą jej był nie tylko Novalis i Kleist ale przede wszystkim Wagner. Wagner przyjął nie tylko stronę zewnętrzną, ale przywrócił mitowi również jego pierwotne znaczenie powiedział wprost to, co trubadurzy ważyli się omawiać jedynie za pomocą okrężnej metafory, stworzył doskonałą artystycznie afirmację pogańskiego poglądu na świat. Że zaś Wagner jest synem narodu, który uporczywie usiłował zaprowadzić swój własny, egoistyczny ład w Europie, więc ten ostatni przykład winien ostrzec świat przed dalszym wprowadzeniem do cywilizacji zachodniej pierwiastków zdawałoby się ponętnych, a jednak obcych, które dostały się do niej przypadkiem i które zdążyła w części tylko przetrawić i zasymilować.

„Nie wszystko, co przyzwyczailiśmy się uważać za „europejskie" jest pochodzenia „chrześcijańskiego". Nawet ci, którzy identyfikują chrześcijaństwo z Europą, nie bardzo o tym pamiętają. Jeżeli Europa ulegnie złemu losowi, to stanie się to między innymi dlatego że zbyt długo tolerowała w każdej dziedzinie para-chrześcijańską, a raczej anty-chrześcijańską religię namiętności".

Aleksandra Poleska

JAN WINCZAKIEWICZ

KRYZYS RELIGIJNY W HISZPANII

Gdy kiedyś powiedziano przed wielkim kardynałem Mercier, arcybiskupem z Malines, że Hiszpania jest krajem na wskroś katolickim, Kardynał, który dobrze znał Hiszpanię, odniósł się do tego twierdzenia bardzo sceptycznie, przypominając, że w żadnym kraju nie pali się tylu kościołów i klasztorów i że w żadnym kraju nie ma tak wyraźnego rozbratu między Kościołem a warstwą robotniczą, jak właśnie w Hiszpanii.

Dziś Franco, uważający się sam za tarczę Kościoła, głosi dumnie, że 99% Hiszpanów to katolicy, że kraj jest przesiąknięty wiarą Chrystusową do szpiku kości, że Hiszpania to ostatni i najmocniejszy bastion katolicyzmu.

Niestety, w słowach dyktatora kryje się niewiele prawdy. Prymasa Hiszpanii, kardynała Pla y Deniel, znanego z sympatii do obecnego reżymu, na pewno nie można posądzać o przesadny pesymizm w ocenie sytuacji, a oto co napisał przed rokiem: „Jak smutny widok przedstawia z punktu widzenia apostolskiego wioska, miasto, naród, gdy warstwa najliczniejsza, warstwa robotnicza, pozostaje poza kręgiem Kościoła. A czyż nie było tak, niestety, w naszej Hiszpanii w końcu ubiegłego i z początkiem obecnego stulecia? **Czyż ośmielimy się powiedzieć, że tak nie jest i dziś?"**

Pismo „Ecclesia", oficjalny organ Prymasa, uzupełnia ten obraz wymownymi szczegółami. 95% młodych robotników — pisze Albert Bonet, generalny sekretarz Akcji Katolickiej — którzy wychodzą ze szkół katolickich, przestaje praktykować i traci wiarę. Inne pismo, wydawane przez ojców jezuitów „Fomento Social" donosi, że spośród 4.000 zbadanych urzędników w Barcelonie zaledwie 10% okazało się katolikami praktykującymi. Biskup z Jaenu zadeklarował że w Andaluzji panuje „absolutna ignorancja Boga i chroniczny analfabetyzm". Diecezja z Granady ogłosiła raport, iż „po wsiach jeden człowiek na tysiąc chodzi na Mszę św."

Wbrew więc przechwałkom generała Franco, Hiszpania przeżywa głęboki kryzys religijny, a jeśli generał pragnie go ukryć przed światem, to dlatego, że to on właśnie ponosi w dużej mierze odpowiedzialność za upadek religijności w kraju. Afiszując się na każdym kroku swym katolicyzmem, a używając jednocześnie w rządach metod niezgodnych z zasadami chrześcijaństwa, Franco kompromituje religię katolicką w oczach szerokich mas.

Nigdy chyba w Hiszpanii nie urządzono tylu oficjalnych uroczystości manifestujących wierność Kościołowi, nigdy Episkopat i ojcowie jezuici nie mieli tak wielkich wpływów politycznych, nigdy organizacje kościelne nie rozwijały tak szerokiej działalności charytatywnej. Ale cóż z tego? Znanemu amerykańskiemu pisarzowi katolickiemu, Francis E. MacMahonowi, pewna kobieta w Madrycie powiedziała: „Dziś już ludzie nie podpalają kościołów, ale za to spalają je w swych sercach". Z tą samą opinią spotkałem się osobiście, wędrując w tym roku po Andaluzji. Tamtejsi katolicy, a nawet jeden z księży, wyrażali przede mną obawę, że gdy tylko dojdzie do jakichś zamieszek i zabraknie bagnetów policji frankistowskiej, tłum rzuci się najpierw do podpalania kościołów i klasztorów.

Aby wyjaśnić choć w przybliżeniu przyczyny tego stanu rzeczy, trzeba by sięgnąć daleko w głąb historii. W Kościele hiszpańskim istniały zawsze dwie tradycje. Jedna, zwana dziś „toledańską", wywodząca się z okresu walk przeciw Arabom, kiedy to Kościół organizował wyprawy wojenne i kierował dyplomacją państwową, dąży do scalenia władzy duchownej i świeckiej, ściślej mówiąc, do hegemonii Kościoła nad państwem. Druga, tak zwana „watykańska", której najwybitniejszym przedstawicielem jest wielki filozof z ubiegłego stulecia, ks. Balmes, pragnęłaby pewnej separacji Kościoła od państwa uważając, że Kościół winien zdobyć dusze ludzkie nie środkami politycznymi, lecz Ewangelią. W momencie gdy Franco doszedł do władzy, wśród biskupów nastąpił podział. Arcybiskup z Tarragony, arcybiskup z Vittorii i spora ilość księży znalazła się na emigracji, by podzielić los republikanów. Większość jednak, tradycyjnie związana z kołami prawicowymi a także zrażona zatargami z rządami Republiki, nawiązała współpracę z dyktatorem wierząc, że ma do czynienia z prawym katolikiem. Dziś dla nikogo nie jest tajemnicą, że obok generalicji i niezwykle silnej policji kler postawi główną podporę reżymu. Ale ta współpraca nie przyniosła Kościołowi spodziewanych owoców. Franco okazał się nie tyle katolikiem, ile faryzeuszem. Sojusz z Kościołem zawarł po to, by uczynić zeń narzędzie swej dyktatorskiej polityki. Prawda, że zniósł śluby cywilne, wypłaca księżom pensje ze skarbu państwowego i oddał pod kontrolę poważną część oświaty. Te niewątpliwie cenne, ale nie najistotniejsze przywileje okazały się przysłowiową miską soczewicy, bo wzamian Franco uzyskał prawo mianowania biskupów prawie bez porozumienia ze Stolicą Apostolską, roztoczył ścisłą kontrolę nad prasą katolicką, a co najważniejsze, wciągnął księży w propagandę na rzecz swego reżymu. Jak stwierdza już raz wspomniany pisarz, MacMahon, w Hiszpanii nastąpiło zupełne zespolenie a nawet utożsamienie się Kościoła z reżymem. Przyniosło to olbrzymie korzyści dyktatorowi, a zadało poważne straty religii. Ludność, która w 80% nienawidzi Franca, przestała chodzić do kościoła, bo nie chciała słyszeć na kazaniach pochwał na jego cześć i niechętnym okiem zaczęła patrzeć na księży, gdy na powitanie podnosili rękę po faszystowsku.

Kryzys zarysował się w samym klerze. Na przykład w Kraju Basków, gdzie Franco stara się przy pomocy biskupów i księży przysłanych z Kastylii prowadzić akcję wynaradawiania, księża baskijscy wydają nielegalne, podziemne pismo „Egiz" (Prawda"), w którym atakują brutalności reżymu i polityczne posunięcia „toledańskich" biskupów. Jeśli Kraj Basków jest dziś jedynym, prawdziwym bastionem katolicyzmu w Hiszpanii, należy to zawdzięczać właśnie postawie księży baskijskich, którzy zawsze odważnie szli z ludem, z narodem, nie oglądając się na koniunktury polityczne.

Osobiście mam wrażenie, że przyjazne stosunki między Kościołem i dyktaturą generała Franco uległy ostatnio pewnemu ochłodzeniu. Zresztą Stolica Apostolska od początku traktowała generała Franco z rezerwą i do dziś dnia nie podpisała konkordatu. Jestem skłonny przypuszczać, choć nie mogę mieć całkowitej pewności, że na tę samą drogę wchodzą biskupi hiszpańscy. Wskazywałoby na to wiele faktów z ostatniego roku. W czasie strajków wiosennych w Barcelonie i w Kraju Basków władze kościelne i organizacje katolickie okazały wyraźną sympatię dla strajkujących. Pismo Bractw Robotniczych Akcji Katolickiej „Tu" zostało wtedy skonfiskowane przez cenzurę rządową. Również niedawno „Ecclesia" potępiła w sposób przejrzysty korupcję dostojników reżymu i rażące różnice między nędzą robotników a luksusem warstw rządzących. Na wiosnę prymas Pla y Deniel ogłosił list pasterski, potępiający wszelkiego rodzaju totalizm. W tym samym czasie „Ecclesia" domagała się natarczywie pozwolenia na wydawanie codziennego pisma, które byłoby rzeczywistym organem Kościoła. Tak się bowiem dziwnie składa, że w katolickiej Hiszpanii nie ma dotychczas takiego dziennika jak „La Croix" wychodzący w laickiej Francji.

Jan Winczakiewicz

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 20 kwietnia 1952.

D Y S K U S J E

I LISTY DO REDAKJI

FILOZOFIA A NAUKA OBJAWIENIA

W felietonie „Po łepkach“ z dnia 23 marca b.r. p. Jan Bielatowicz zawarł w kilku uwagach bardzo dużą treść. Jednak, jak to jest zwykle nieuniknione w felietonie, niektóre problemy dostały światło tylko z jednej strony i jakkolwiek ta strona oddaje wiernie prawdę, ukazały się tylko częściowo, kryjąc w cieniu inne swoje aspekty, nie mniej ważne.

Ponieważ tu chodzi o stosunek między filozofią a nauką i Objawieniem i autor, w błyskawicznym skrócie, wskazał przewagę Objawienia jako źródła pewności, warto, równie błyskawicznie, rzucić światło z innej strony.

Chodzi o pewność. P. Jan Bielatowicz wyszedł z punktu widzenia niepewności i tajemnic, które umysł ludzki daremnie stara się poznać. Objawienie w tym świetle ukazało się jako mocny grunt, skała, na której można się oprzeć. To trafne. Tak jest istotnie.

Ale — coś zostało w cieniu.

By znaleźć punkt widzenia, z którego należy rzucić dodatkowe światło, zanalizujemy tę niepewność, która była punktem wyjścia autora. Pewność czy niepewność — w czym? Czy w poznaniu, czy w wierze? Skrót felietonu uprościł zbytnio zagadnienie i przyjął: niepewność w poznaniu i pewność w wierze. To, zresztą, nie jest stanowisko bez precedensu, bo właśnie św. Augustyn był przedstawicielem tego poglądu.

A teraz odwróćmy światło. Popatrzymy na to raczej tak, jak św. Tomasz z Akwinu.

Człowiek albo zna Objawienie, albo nie — niezależnie od tego, w jakiej religii się urodził. Mógł się urodzić w rodzinie ateistów i Objawienia nie poznać lub nie przyjąć. Wówczas jego wiarą będzie to, co mu powie jego rozum, jego poznanie. Czy człowiek taki nie ma żadnych podstaw pewności w poszukiwaniu prawdy? Przeciwnie, ma wszelkie podstawy pewności. Nawet jeżeli założymy, że ich wykorzystanie jest niezmiernie trudne, że wymaga umysłu Arystotelesa, nie zaprzeczymy faktowi, że te podstawy istnieją. Trudność poznania intelektualnego może być zresztą porównana z trudnością przyjmowania tajemnic Objawienia. I do jednego i do drugiego potrzebna jest Łaska.

Św. Tomasz odłączył filozofię od Objawienia. Za Arystotelesem, a wbrew Platonowi uznał rozum ludzki jako jedyne źródło poznania filozoficznego. Uznał, że filozofia winna odrzucić wszelki autorytet prócz autorytetu argumentu rozumowego. Taka filozofia może dociekać prawdy i tę prawdę osiągnąć. Nie odrzuca ona Objawienia, ale go i nie przyjmuje jako autorytet. Docieka jego prawd i je potwierdza, ponieważ one są istotnie prawdami i nie może istnieć żadna rozbieżność pomiędzy prawdą filozoficzną a prawdą religijną. Filozofia daje pewność wiedzy, Objawienie daje pewność wiary.

Czyż więc nie jest słuszne to, co pisze p. J. Bielatowicz, że „wszelkie systemy filozoficzne są tylko mniej lub więcej udaną imitacją Objawienia“? I nie jest, i jest. Systemy filozoficzne — nie wszystkie wprawdzie — to zwykle systemy także i religijne w mniejszym lub większym stopniu. Wschodnia myśl filozoficzna w ogóle nie przeprowadza rozróżnienia w tym względzie. Zapewne, korzystały one w swych początkach, z Objawienia jako źródła. Ale jednocześnie elementy czysto filozoficzne w nich zawarte nieraz zmieniały całkowicie ich stronę religijną.

Filozofia, zresztą, to nie to samo, co „systemat filozoficzny“. Filozofia jest nauką nauk. Ma swoją metodę, równie nieomylną, jak np. metoda matematyczna. Pokrywa pewien zakres wiedzy dobrze określony, jakkolwiek bardzo szeroki. „Systemat filozoficzny“, to zwykle jakaś teoria filozoficzna, rozpracowana mniej lub więcej, w doktrynę, a więc w coś, co ma już znaczenie praktyczne w postępowaniu. Systemów filozoficznych było i jest wiele, zajmuje się nimi historia filozofii. Filozofia jest tylko jedna.

Nauka — nauki filozoficzne — również jest źródłem pewności. Tylko ta pewność jest ograniczona zakresem każdej poszczególnej gałęzi wiedzy. Filozofia porządkuje to, co pewne w naukach pozafilozoficznych, układa w całość i daje niekompletny i niedoskonały obraz, ale obraz pewny, tj. zgodny z prawdą.

To prawda, że „wiedza“ (nauki przyrodnicze) dzisiaj straciła wiele ze swej pychy i nie usiłuje przeczyć Objawieniu. Ale — nie w każdym „sensie“ pragnie pozostać jedną z najemniczek Objawienia. Na przykład Objawienie nie przesądza o temperaturze wrzenia wody. To prawda, że wiara jest najwyższą mądrością i że opiera się na autorytecie Boskim. Ale wiedza nie opiera się na „autorytecie ludzkim“. Opiera się na autorytecie obiektywnym: autorytecie dowodu rozumowego, podobnie, jak filozofia.

Chodzi o to, żebyśmy czasem nie popadli z jednej skrajności w drugą: z ubóstwiania nauki lub filozofii w „uteologizowanie“ całej wiedzy ludzkiej. Człowiek bowiem to nie tylko istota religijna ani też tylko istota filozofująca lub istota empiryzująca. Człowiek, to istota zawierająca to wszystko: i wiarę, i rozum, i ciekawość poznania empirycznego. Im pełniej te wszystkie dziedziny rozwija, tym bardziej jest — człowiekiem.

Roman Jasieńczyk

O RECENZJI „ALMA MATER VILNENSIS“

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W artykule wstępnym „ŻYCIA“ z 16.3. 1952 r. p. Wiesław Żyliński omawiał książkę docenta Uniw. Stefana Batorego dr W. Wielhorskiego p.t. Litwini, Białorusini i Polacy w dziejach kultury W. Ks. Litewskiego. Praca ta ukazała się w 1951 r. w wydawn. „Alma Mater Vilensis“, które redaguje Społeczność Akademicka Uniwer. Stefana Batorego w Londynie.

Autor artykułu twierdzi, że z książki, o jakiej mowa, należy usunąć rzeczy „nie wytrzymujące krytyki naukowej“. Podpisani niżej z ramienia „Rady Społeczności Akad. U.S.B.“ zajęli się w swoim czasie oceną i redakcją pracy docenta W. Wielhorskiego, członka tejże „Rady“. Nie odnaleźli w niej wypowiedzi, do których można by zastosować kwalifikację p. Żylińskiego. Nie podaje on w swym artykule ani jednego przykładu takiej wypowiedzi.

Gdy chodzi o treść artykułu p. Żylińskiego, to zauważyć wypada, co następuje: —

Po pierwsze, myli się p. Żyliński, utrzymując, że autor książki oparł swe poglądy o różnicach psychologii Polaków i Litwinów, na różnicach ideologii, reprezentowanych w XVI wieku przez Budnego i Gonezjusza. Różnice te wykazuje autor w wywodach całego III-go rozdz. książki! Użytkował w tym celu, pomiędzy innymi, opinie przeszło 20-stu badaczów przedmiotu, jakich imiennie cytuje. Od mienne skłonności ideologiczne arian polskich a litewsko-białoruskich (str. 19—81) stanowiły jedynie ilustrację poprzednio sformułowanych mniemań autora w omawianej sprawie.

Po drugie, myli się p. Żyliński, narzucając autorowi książki obowiązek cytowania literatury monograficznej o poszczególnych wyznaniach w dobie Reformacji w W. Ks. Litewskim (str. 105). Książka, o jakiej mowa, zajmuje się przedewszystkiem stosunkami narodowościowymi w W. Ks. Litewskim, o czym mówi wyraźnie tytuł pracy. Sprawy wyznaniowe omawiane są w niej ubocznie, jako jeden ze współczynników kształtujących kultury etniczne na obszarach Litwy historycznej. Autor nie miał nietylko obowiązku, lecz i możliwości powoływania się na dzieła, nieposiadające bezpośredniej styczności z tekstem jego pracy.

Po trzecie, myli się p. Żyliński, przypisując autorowi „dowolność“ w twierdzeniu jego o wątpliwej lojalności wobec Rzplitej „starowierów“ rosyjskich z terenu Litwy (str. 45). Opinię autora w tej sprawie podzielają i inni badacze. Tadeusz Korzon pisze o „starowierach“: „Nie wypłacili się przybranej ojczyźnie życzliwością. Na ich pomoc rachował książę Repnin w 1794 r.“ (Dzieje Wewn. Polski... 1897, I. 216). Chwali starowierów za wierność Rosji w 1863 r. i gen. gubernator Murawiew („Pamiętniki“. Włochy 1945, str. 21—22). —

Dodać jeszcze musimy, że autor książki sprecyzował wyraźnie zakres tolerancji religijnej w Litwie XVI-go wieku (str. 116 i 128). Dopiero uwagi o jego wypowiedziach p. Żylińskiego zaciemniły wizerunek sprawy.

W tekście artykułu p. Żylińskiego brak innych momentów, które by próbowały świadczyć o braku skrupulatności metodologicznej autora książki. Pozostałe wywody p. Żylińskiego na tym miejscu nas nie obchodzą.

Podpisani uprzejmie proszą Wielce Szanownego Pana Redaktora o zamieszczenie w Jego poczytnym piśmie niniejszego listu. Stanowi on bowiem informację dla licznych czytelników „ŻYCIA“, którzy się interesują działalnością naukową i wydawniczą Społeczności Akademickiej Uniwersytetu Stefana Batorego na obczyźnie i darzą ją swym zaufaniem.

Zechce przyjąć Pan Redaktor wyrazy szacunku i poważania

(—) Prof. C. Baudouin-de-Courtenay
Jędrzejewiczowa
(—) Prof. Z. Jundziłł
(—) Prof. S. Kościałkowski

Londyn, 23 marca 1952 r.

POPRAWKI DO BILANSU

Szanowny Panie Redaktorze!

W artykule pt. „Polska literatura emigracyjna w r. 1951, II Czasopisma“, (ŻYCIE No 245), p. Jan Bielatowicz powiada, że „w piśmiennictwie emigracyjnym dokonuje się zdrowy proces organiczny rozwoju młodych talentów i powolnego usychania bujnych niegdyś konarów“. Poczem dodaje, że: „Twórczość młodych pisarzy jest jak potok wezbrany po ulewie“.

Nie ulega wątpliwości, że p. Jan Bielatowicz, zanim się kiedyś stanie bujnym konarem, usychającym powoli, obecnie odczuwa w sobie zdrowy proces organicznego rozwoju, cytowany zaś tutaj obszerny artykuł p. Bielatowicza bezsprzecznie należy do twórczości, wezbranej po ulewie.

„Szkic panoramiczny“ — jak słusznie swój artykuł nazwał p. Bielatowicz — przeczytałem z taką przyjemnością, z jaką się brodzi w potoku po ulewie.

Niech mi Pan Redaktor nie weźmie za złe, że niektóre definicje, czy ujęcia, pozwolę sobie uważać za sformułowane przez p. Bielatowicza nie zupełnie jasno. Powiem więcej: to i owo twierdzenie p. Bielatowicza wręcz mnie zaskoczyło. Czytelnik, nie przyzwyczajony do metafor, zwłaszcza pozornych, gubi się wśród ozdób stylistycznych wykładu p. Bielatowicza. Młodość, nie młodość, ulewa, nie ulewa, w sprawozdawczym artykule literackim szukamy jasnej informacji, nie „czystej poezji“, czyli czegoś, co podobno nie wymaga sensu (ks. H. Bremond).

Przy omawianiu ruchu literackiego, pierwszym obowiązkiem sprawozdawcy jest nie mieszanie literatów z nieliteratami. P. Bielatowicz wie o tym, ponieważ powiada: „Publicystyka polityczna nie jest przedmiotem niniejszych rozważań“, „nie obejmują także niniejsze uwagi tematów naukowych“. Co podkreśliwszy, p. Bielatowicz wymienia prof. Studnickiego, polityka par excellence, i stwierdza, że „do essejów na miarę historycznoliteracką należą „z historii religii“ szkice p. Tadeusza Sluty, ojca I.M. Bocheńskiego („Biblia i brewiarz“), artykuły p. Jana Tokarskiego... A jednocześnie pomija Antoniego Bogusławskiego, autora najgłośniejszej powieści ubiegłego roku (p.t. „Tu i tam.“).

„Pisarze starszej generacji“ — pisze p. Bielatowicz — „błyszczą jeszcze czasami polewą rutyny“.

Myli się p. Bielatowicz. Rutyna nie błyszczy. Wręcz przeciwnie, jest szarością, jest bowiem banalnością. Ale, co gorsza, p. Bielatowicz zalicza do tej samej generacji osiemdziesięcioletniego p. prof. Studnickiego, (polityka, po dziś dzień pełnego energii), i Jana Lechonia, o trzydzieści kilka lat młodszego, (uroczego poetę lirycznego!) Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie najprostsze rozeznanie obowiązujące w sprawozdaniu literackim?

„Najwybitniejszym utworem fikcji literackiej“ — według p. Bielatowicza — „było w roku ubiegłym opowiadanie Andrzeja Bobkowskiego „Coco de Oro“.

Jak to twierdzenie uzasadnia p. Bielatowicz?

„Bobkowski i jego „Coco de Oro“ — mówi p. Bielatowicz — „to jakby śmiały żeglarz, puszczający się łodzią w pojedynkę na dalekie morza, aby się przekonać, że tak jak ziemia, okrągła jest także dusza ludzka“.

Przecieram oczy. Wczytuję się w to zdanie. Ależ tak, wzrok mnie nie myli! Dusza ludzka jest „okrągła“!

I nie ma w tym zdaniu błędu zecerskiego, bo powiedziano, że dusza ludzka jest okrągła „tak jak ziemia“! „Także“!

Nie znam „Coco de Oro“, nie wiem więc, czy p. Bielatowicz nie przechwalił p. Bobkowskiego puszczającego się w pojedynkę, (więc odważniej, niż Kolumb), na dalekie morza, aby się przekonać o okrągłości duszy ludzkiej. Jakiejkolwiek jednak jest wartości literackiej „Coco de Oro“, (może małej, może dużej), czytelnikowi artykułu p. Bielatowicza należy się od p. Bielatowicza bliższe wyjaśnienie co do samego twierdzenia o krągłości duszy ludzkiej. Dla katolika nie biegłego w sprawach, powiedzmy, teologicznych, (a takich katolików spewnością jest sporo), oświadczenie p. Bielatowicza na temat kształtu, posiadanych przez nas, dusz, nie może nie być kłopotliwe.

Dziwi nas również zasadnicze twierdzenie p. Bielatowicza, że „na spojrzenie z drugiej strony na siebie samych czekało przez wiele lat polskie piśmiennictwo emigracyjne“.

Doczekawszy się wreszcie tego spojrzenia w postaci powieści p. Gombrowicza (pt. „Trans-Atlantyk“), społeczeństwo emigracyjne nie doczekało się tego, na co rzekomo czekało bo p. Gombrowicz, (według p. Bielatowicza), powiedział „nie tyle rzeczy nowe, co inaczej, niż wszyscy“. Nie dało więc „komicznej ulgi“, jaką, (według p. Bielatowicza), takie „spojrzenie z drugiej strony na nas samych“ musi piśmiennictwu przynieść. Dlaczego spojrzenie z drugiej strony jest ulgą i dlaczego komiczną, p. Bielatowicz nie wyjaśnia.

O p. Józefie Mackiewiczu powiada p. Bielatowicz, że „umie opowiedzieć swoją ziemię i wygrać swoje powietrze słowami i melodiami prostymi i zgrzebnymi“.

O pisarzu tak bardzo utalentowanym, jak p. Janusz Kowalewski, p. Bielatowicz powiada, że „nie mocuje się z korzeniami zła, lecz z rosochatą koroną krzywdy“.

Co to znaczy? Zresztą, gdzie dowód, że p. Kowalewski pofolgował korzeniom, a tarmosi koronę (rosochatą)? No, i krzywda jest chyba również złem, choć korona nie jest korzeniem!

P. Bielatowicz dodaje, że zbyt lewicowego p. Kowalewskiego uratowało w końcu „słoneczne poczucie humoru“, jako że było kroplą, która padła do psychiki przepełnionej lukrecją komunistycznej doktryny“.

Marx i lukrecja! Stalin i lukrecja!

Tych kilka przytoczeń wystarczy.

Jeżeliby mi powiedziano, że są czytelnicy którzy lubią się dowiadywać o „rosochatych koronach krzywdy“, o tem, że dusza ludzka jest okrągła („jak ziemia“), że „swoje powietrze“ umie ktoś wygrać „zgrzebną melodią“, a ktoś inny potrafi swoje opowiadanie „wyprawić“ „sztukaterią wiedzy“, (p. Bobkowski), to bym odpowiedział, że dla takich czytelników drukuje się „sennik egipski“, nie poważny „tygodnik kulturalny“. —

Kto by zaś chciał utrzymywać, że sprawozdawca literacki ma prawo do „śmiałych metafor“, temu nie powiem, że takiego prawa nie ma. Powiem mu natomiast, że można się koniec końców zgodzić na „44“ w poezji, nie można jednak przystać na trzy po trzy w krytyce.

Z głębokim poważaniem —

WACŁAW GRUBIŃSKI

JESZCZE O ZAWIEYSKIM

Gdy w notatce z wystawionego przez studentów w Bristolu „Ocalenie Jakuba“ Jerzego Zawieyskiego pisałem, że to jest sztuka kiepska, miałem uczucie, jakbym powtarzał coś, na co wszyscy już dawno się zgodzili. Toteż argumenty listu p. Taborskiego, wsparte na dodatek artykułem Jana Bielatowicza, w moich uszach zabrzmiały jak salwa armatnia. Ponieważ p. Taborski zarzuca mi, że niczym nie uzasadniam sądu o „Ocaleniu Jakuba“, chciałbym uzupełnić moją notatkę wysuwając zarzuty tak, jak mi się nasunęły w czasie przedstawienia. Podkreślam jednak, że nie polemizuję ani z p. Taborskim, ani z Janem Bielatowiczem, już choćby dlatego, że nigdy nie studiowałem twórczości Zawieyskiego.

Joanna poznaje Krzysztofa i nawiązuje z nim romans sądząc, że jej mąż, Jakub, umarł. Naraz Jakub wraca. Oto pierwsza dramatyczna sytuacja sztuki.

Po zadzierżgnięciu tego węzła Zawieyski przecina go jednym zamachem: okazuje się, że trójkąt nie jest trójkątem, bo Joanna kocha swego męża i wcale nie zamierza go porzucić ani zdradzić. Zachowuje się bardzo ładnie, ale pierwszy problem znika na długo przed końcem sztuki.

Właściwy problem wynurza się dopiero w drugim akcie (u np. Szekspira problem którejkolwiek z jego sztuk poznajemy z pierwszych kwestii pierwszej sceny pierwszego aktu) — Jakub zawinił przeciw Krzysztofowi. Sztuka stale się nagle dwuosobowa, rola Moniki i Joanny sprowadza się do komentarzy.

Wyrzuty sumienia zatruwają Jakubowi szczęście odzyskanej wolności, nie może on „odnaleźć siebie“. Wydaje mi się, że przystosowanie się b. „kacetowców“ do życia na wolności polegało, co prawda, na odnalezieniu siebie, ale w sposób wprost przeciwny. Zazwyczaj nie dlatego czuli się wykolejeni, że przeżywali konflikty etyczne, ale dlatego, że ich nie przeżywali. Musieli od nowa szukać swego miejsca w systemie przepisów tej cywilizacji, która ich tak niedawno torturowała. Jakub mówi, że wraca z obozu koncentracyjnego, ale muszę mu wierzyć na słowo, bo nie ma w nim nic z kacetowca.

I tak samo Jakub mówi, że cierpi, barwnie opisuje swe moralne katusze, ale jego cierpienia nie widzimy, bo autor nie odsłanie mechanizmu tych „mąk“. Zawieyski wypowiada autorytatywne twierdzenia, może słuszne faktycznie, ale nie artystycznie. Przy całej jego ortodoksji, której nigdy nie chciałem kwestionować, Muza odwraca się odeń. Gdy Makbeth mówi, że „life is but a tale told by an idiot, full of sound and fury, signifying nothing“, słowa jego płyną z samego dna rozpaczy, z grzechu śmiertelnego, ale Szekspir objawia się w nim jako geniusz.

Uwagi Reginy, zwariowanego dziewczyniska w wieku, w którym człowiek jest najgłupszy, nie mają nic wspólnego z dramatem. Jej powiedzenie: „ja jestem chórem tragedii tego domu“ jest, po pierwsze, pretensjonalne, a po drugie, nieprawdziwe bo tragedii w domu tym w ogóle nie ma. Tragedia, jak to ktoś powiedział, polega na tym, że sytuacja jest bez wyjścia, że obie strony mają rację. Jeżeli chór w „Ocaleniu Jakuba“ był koniecznie potrzebny, w co nie wierzę, Zawieyski wcale nie przekonywuje, że należało go ubrać w kieckę pensjonarki.

Sytuacje „Ocalenia Jakuba“ nie są „kawałkiem życia“, a tylko pretekstem do spekulacji, która jest nadużyciem formy dramatu. Rozpaczliwie gadatliwe postacie ilustrują przekonania autora, ale nic nie mówią, nie są żywymi ludźmi.

WOJCIECH GNIATCZYŃSKI

OCZYMA MŁODEGO CZŁOWIEKA

Szanowny Panie Redaktorze,

Dziękuję za nadesłane mi numery „ŻYCIA“. Przeczytałem też „Gorzki list“, młodego człowieka, który „oczyma 15 letniego dziecka patrzył na zawieruchę 1939 roku“ (a ja w tym właśnie wieku też przyglądałem się ale bardzo z bliska wojnie polsko bolszewickiej 1920 roku gdyż poraz pierwszy byłem wtedy żołnierzem-ochotnikiem) i nie mam najmniejszego zamiaru z nim polemizować.

Oczywiście jest rzeczą przykrą mieć złe wspomnienia z Kraju, a nie zawinione siedzenie w więzieniu nie jest przyjemnością. Chcę tylko Panu zaznaczyć że nazwisko Zyndram-Kościałkowski nie zawsze jest synonimem Sanacji. Ci co mnie znają wiedzą jakie wtedy miałem poglądy.

Cieszę się, że młody człowiek znalazł osłodę życia w pracy i ma czas na „kultywację umysłu“ co jest tak ważne, ja też gdy pracowałem w swym dawnym zawodzie, znajdowałem w nim dużo zadowolenia.

Z rady kupienia budzika nie skorzystałem bo mam go już oddawna, muszę bowiem codziennie wstawać o 5.30 rano, gdyż mieszkam w wiosce oddalonej o 10 km. od fabryki. Proszę o umieszczenie tych paru uwag.

Z wyrazem głębokiego szacunku pozostaję

W. Z. KOŚCIAŁKOWSKI

Zalonbère 28.II.52.

KSIĄŻKI i CZASOPISMA OBCE

UNIWERSYTET WOLNEJ EUROPY. W prasie francuskiej pojawiło się ogłoszenie „Association du College de l'Europe Libre“ (7, rue de la Paix, Paris 2e), zawiadamiające o przyjmowaniu podań o stypendia na rok akademicki 1952-53. Podania te wnosić mogą studenci urodzeni po 31 grudniu 1921 r. posiadający dyplom oficjalny szkoły średniej lub jej odpowiednika i będący uchodźcami (refugées) z Albanii, Bułgarii, Estonii, Węgier, Łotwy, Litwy, Polski, Czechosłowacji lub Jugosławii. Stypendium wystarcza na pokrycie opłat szkolnych, utrzymania, mieszkania i na drobne wydatki.

Około czterech piątych ogólnej liczby stypendiów przyznanych będzie na studia w „Collège de l'Europe Libre“ w Strasburgu, gdzie odbywać się będą specjalne kursa historii i kultury wymienionych wyżej dziesięciu krajów Europy Środkowo-Wschodniej i gdzie studenci będą mogli odbywać studia na wydziałach prawa, nauk humanistycznych, farmacji, nauk matematyczno-przyrodniczych lub teologii uniwersytetu strasburskiego.

Pozostała jedna piąta część stypendiów przeznaczona będzie na studia na innych uniwersytetach lub kolegiach europejskich w dziedzinach, nieobjętych programem uniwersytetu strasburskiego. Studenci mający odbywać swe studia bądź w Strasburgu, bądź też gdzie indziej we Francji, a nie posiadający dostatecznej ustnej i pisemnej znajomości języka francuskiego potrzebnej do słuchania wykładów i składania egzaminów, przechodzić będą specjalne kursy szkolące w „Collège de l'Europe Libre“, począwszy mniej więcej od 1 sierpnia 1952 r.

Termin do składania podań o stypendia upływa dnia 15 kwietnia r.b. Podania adresować należy pod wspomnianym wyżej adresem „Association du College de l'Europe Libre“ w Paryżu. Tam też zwrócić się można listownie o szczegóły, dotyczące stypendiów.

POLKA STUDIUJE LITERATURĘ PROWANSALSKĄ. Na łamach „Figaro Littéraire“ p. Hugues Fouras ogłasza krótkie wywiady, jakie odbył z młodymi cudzoziemcami różnych narodowości, przygotowującymi na Sorbonie swe tezy uniwersyteckie. Wśród studentów tych znalazła się też Polka, p. Zofia Romanowicz, która uderzyła p. Fourasa swą żywością i wdziękiem.

„Kiedy tu przyjechałam — mówiła p. Romanowicz — znałam tylko dwa słowa francuskie: „Merci“ i „Pardon“. Nauczyłam się ich z przewodnika, w pociągu. Powiedziałam sobie: nie warto marnować czasu i zaraz zapisałam się na fakultet celem uzyskania wolnego magisteriatu z literatury (licence libre de lettres). Przypominam Panu, że przedmiot mej tezy jest ograniczony: „Trubadurzy w twórczości „félibres“ (tj. pisarzy południowo francuskich), od początków (1850) po rok 1900“. W Polsce panuje duże zainteresowanie językiem prowansalskim. Już w XIX stuleciu uczony polski, p. E. Porębowicz wykładał język prowansalski we Lwowie i w Krakowie“.

CO BĘDĘ ROBIŁ 29 LUTEGO? Jeden z współpracowników tygodnika „Les Nouvelles Littéraires“ zwrócił się do szeregu pisarzy francuskich z zapytaniem, co będą robili w dniu 29 lutego rb. Odpowiedzi podają „Nouvelles Littéraires“ w numerze z d. 28 lutego. Oto kilka spośród nich:

Alexandre Arnoux z Akademii Goncourtów: „Nic szczególnego. Nie mam zresztą żadnego poczucia czasu ani daty. Kalendarz zaś jest mi całkowicie obojętny“.

Marcel Auclair: „Perspektywa tego 29 lutego upraja mnie w zachwyt. Obyż każdy dzień trwał 48 godzin! A to właśnie nastąpi 28 lutego“.

Audiberti: „Nie może być obojętne dla człowieka, że będzie miał ów dzień 29 lutego. Jest to mała strefa tajemnicy. Jest to napiwek Chronosa“.

Pierre Benoit z Akademii Francuskiej „Co będę robił dnia 29 lutego? Będę próbował nie myśleć zanadto o tym, że łatwo być to może ostatni mój taki dzień“.

Françoise Mallet: „Ignoruję fakt, że będzie 29 lutego. Być może, że dzień ten będzie szczęśliwy w znalezieniu tytułu mej nowej powieści“.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

BRYTYJSKIE WYDARZENIA KULTURALNE OSTATNIEGO OKRESU

KŁOPOTLIWY SPOCZYNEK NIEDZIELNY W TEATRZE —

Jak wiadomo, w Wielkiej Brytanii spoczynek niedzielny rozciąga się również na przedstawienia teatralne. Jest to nie tylko tradycja, strzeżona bardzo gorliwie przez t.zw. sabbatystów, ale sprawa ta uregulowana jest również przez dwie ustawy państwowe, mianowicie przez tzw. „Theatres Act“ z r. 1843 i „Sunday Observance Act“ z r. 1870.

Ostatnio zagadnienie to nabrało znów aktualności i stało się przedmiotem różnych dyskusji w związku z zabiegami o wystawianie także w niedzielę sztuki pt. „Dragon's Mouth“, napisanej wspólnie przez znanego pisarza J. B. Priestley'a i przez p. Jacquettę Hawkes. Jest to nowa forma dramatu, którą autorska para ochrzciła mianem „kwartetu dramatycznego“. „Kwartet“ ten — to czterej ludzie obdarzeni różnymi psychologiami i toczący między sobą dyskusję. Nie ma dekoracyj ani kostiumów.

Premiera „Dragon's Mouth“ miała się odbyć w niedzielę wielkanocną w teatrze festiwalowym w Malvern. Organizatorzy trwali przy tym zamiarze, mimo, że kierownik zespołu p. Roy Limbert ostrzeżony został przez miejscową policję, że jeśli będzie próbował dać w niedzielę przedstawienie publiczne, jego licencja teatralna znajdzie się w niebezpieczeństwie. Ostatecznie Priestley i Limbert zadecydowali, że przedstawienie w Malvern będzie miało charakter nie publiczny, lecz prywatny, za zaproszeniami, przy czym zaproszona będzie też miejscowa policja.

Z Malvern cały zespół ruszy własnym autobusem na tournée po prowincjonalnych miastach angielskich; przewidziane są m.in. przedstawienia w Hanley, Sheffield, Bolton, Nottingham, Leeds, Newcastle, Scarborough. Przedstawienia odbywać się będą w salach ratuszowych, koncertowych, a niekiedy i kinematograficznych. Decyzja, czy zespołowi wolno urządzić przedstawienie w niedzielę, zależy od uznania władz miejscowych. Już teraz zajmują one stanowisko dosyć rozmaite: Cardiff i Bristol zabroniły z miejsca przedstawień niedzielnych, w ich ślady poszedł po pewnym wahaniu Manchester, natomiast władze miejskie w Scarborough na przedstawienie niedzielne pozwoliły ze względu na specjalny charakter sztuki.

Sam Priestley oświadczył dziennikarzom, że jest absurdalną anomalią fakt, iż w niedzielę odbywają się najrozmaitsze widowiska i koncerty, tylko gra na scenie jest zakazana.

„Dragon's Mouth“ ma być jeszcze w ciągu r.b. wystawiony także w Stanach Zjednoczonych, Francji, w Niemczech i krajach skandynawskich.

OBRAZ FRAGONARDA SPRZEDANY ZA 7.500 FUNTÓW

Obraz malarza francuskiego z XVIII wieku Fragonarda, przedstawiający „Mężczyznę ze szpadą“, sprzedany został d. 26 marca w hali licytacyjnej Sotheby's za 7.500 funtów. Nabywcą jest kpt. Dyke.

Obraz ten, jak pisaliśmy, pochodził ze zbiorów łańcuckich, będących własnością Alfreda hr. Potockiego. Cena wywoławcza wynosiła 500 funtów. Drugim cennym obiektem, jaki wystawiony był na licytacji z innej strony, był „Portret mężczyzny“ słynnego malarza holenderskiego z XVII wieku Fransa Halsa. Obraz ten osiągnął w licytacji 11.000 funtów, sprzedaż jednak nie doszła do skutku, gdyż suma ta była niższa od minimum, jakiego domagał się właściciel.

CZERWONE TOGI

Uniwersytet w Aberdeen, najdalej na północ położony ze wszystkich uniwersytetów brytyjskich, postanowił znów przywrócić czerwone togi studenckie, zniesione szereg lat temu ze względów oszczędnościowych. Pociągnie to za sobą wydatek 1000 funtów. W początku nowego trymestru w kwietniu rb. władze uniwersytetu zamierzają sprzedać studentom około 300 czerwonych „gowns“ po nominalnej cenie trzech funtów od sztuki.

FILM Z DZIEJÓW MEKSYKU

Jeden z londyńskich kinoteatrów („Odeon“ przy Marble Arch) wystawia obecnie film „Viva Zapata“, osnuty na powieści znanego pisarza amerykańskiego Johna Steinbecka. Film ma charakter polityczno-historyczny: tłem jego jest wrzenie rewolucyjne w Meksyku za prezydentury Porfirio Diaza, a głównym bohaterem przywódca rewolucjonistów, głównie Indian meksykańskich, Emiliano Zapata, który nawet uzyskał na krótki czas władzę prezydenta. Rolę tę gra Marlon Brando, znany już z obrazu „A Streetcar Named Desire“.

Gdy się ogląda ten nowy film, przychodzi na myśl refleksja,, co za arcydzieło w podobnym zakresie stworzyć by można dla ekranu z czołowej powieści Conrada-Korzeniowskiego „Nostromo“, której akcja, jak wiadomo, toczy się również na terenie Ameryki Łacińskiej. Do filmu takiego nie dorośli jednak jeszcze ani producenci, ani publiczność „robiąca kasę“.

ZAKAZANY WJAZD DO W. BRYTANII

Sir David Maxwell Fyfe jako brytyjski „Home Secretary“ odmówił wystawienia wiz wjazdowych dla 11 członków rady Światowej Federacji Pracowników Umysłowych, którzy mieli przybyć do W. Brytanii na sesję rady w Cambridge. Rada składa się ogółem z 23 osób, zakazem więc objęta została prawie połowa jej składu.

Prasa podkreśla, że prezesem rady i przewodniczącym wydziału wykonawczego Federacji jest prof. Joliot-Curie, uczony francuski, który równocześnie jest prezesem tzw. Światowej Rady Pokoju, będącej ekspozyturą komunistyczną. Prof. Joliot odmówiono wjazdu już parę razy poprzednio, m.in. na tzw. Konferencję Pokojową w Sheffield w r. 1950.

Z Polski na posiedzenie rady Federacji przybyć mieli prof. Leopold Infeld oraz prof. Zygmunt Kuligowski.

CO TO JEST NARÓD?

Stronnictwo Narodowe wydało jako pierwszą z publikacji swojego „studium politycznego“ świetną rozprawę Michała Pawlikowskiego „Co to jest Naród?“, która, poprzedzona rozbiorem krytycznym wszystkich teorii ostatniego stulecia, dociera do dna istoty narodu, wychodząc z zupełnie nowych założeń psychologicznych, społecznych i historycznych. Rozprawa ta, która nie ma żadnych cech partyjnych, powinna zainteresować każdego Polaka, choćby znalazł on w niej szczegóły dyskusyjne.

Ciekawi jesteśmy tym więcej zapowiedzianej obszernej książki Pawlikowskiego „Dwa Światy“, bo już ta 32 stronicowa broszurka (która jest do nabycia w Administracji „Myśli Polskiej“: 8, Alma Terrace, Allen Str. W.8. — za cenę 1 sh.) jest wydarzeniem, nad którym nie można przejść do porządku.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Centre. Adres redakcji i administracji: Polish Weekly. ŻYCIE, 12, Praed Mews, London W.2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17; z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „crossed“ (//), wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ 1 cal przez 1 łam — £1, w tekście 50 proc. drożej, na stronie tytułowej 100 proc. drożej. Prenumerata zagraniczna: ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półroczn. 52 pesos. Przedstawicielstwo „Librería Polaca“, Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. BELGIA: miesięcznie 30 frs., kwartalnie 80 frs. Przedstawiciel: E. Kulakowska, 15, rue Godfroid de Bouillon, Bruxelles 3 — FRANCJA: miesięcznie 180 frs., kwartalnie 540 frs. Przedstawicielstwo „Libella“ Librairie 12, rue St. Louis en l'Ile, Paris IV. — NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM., kwartalnie 7.00 DM. Przedstawicielstwo mają „Informacja Prasowa“, (23) Quakenbrück, Shiphorst 2. i Księgarnia „Wiedza“, Schwandorf/Bayern, Bahnhofstrasse 19. — SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: P.K.S.U. Veritas. Section Suisse, Case Postale 19, Fribourg 2. — SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwart. 10.00 kr. Przedstawiciel: B. Kurowski, Anggatan 6c. Lund. Sverige. Sweden. — U.S.A.: — kwartalnie pocztą zwykłą 2 $., pocztą lotniczą 5 $. Przedstawiciele: 1) Antoni Stojanowski, 10. East 18th Street, Bayonne, N.J. 2) Gryf Publication, 808, Wager St. Utica, 3) E. Bagiński, 3690 Helen Avenue, Deroit 7, Michigan, 4) St. Palczewski, 1079 N. Marshfield, Chicago 33, Illinois.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734